

Maureen Child

Domowe ognisko

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jake Lonergan nie był przyzwyczajony do przebywania wśród tylu ludzi naraz. Przez ostatnie piętnaście lat był samotnikiem. Przenosił się z miejsca na miejsce, z jednego wyścigu motocyklowego na drugi. Nie zawierał przyjaźni i nie utrzymywał kontaktów z rodziną.

Tak było prościej.

Prawdopodobnie postępowałyby tak przez następnych piętnaście lat, gdyby nie to, że się dowiedział, że jego dziadek, Jeremiah Lonergan, umiera. Jake bardzo go kochał, a staruszek miał tylko jedno życzenie: aby jego trzech wnukowie wrócili do domu i razem spędzili wakacje.

Jake był w Hiszpanii, kiedy otrzymał tę wiadomość, a powrót do Coleville w Kalifornii zajął mu tyle czasu, że bał się, że przyjedzie za późno i nie zdąży się pożegnać.

Dotarłszy jednak na miejsce, stwierdził, że Jeremiah wcale nie umiera. To był podstęp. Oszukał Jake'a i jego kuzynów, Sama i Coopera, by po piętnastu latach ściągnąć ich na ranczo.

Jake dokręcił śrubę w podwoziu swojego skonstruowanego na zamówienie czarnego chromowanego moto-

cykla, wstał i wyprostował się. Wyjrzał zza podwójnych drzwi stodoły w stronę parterowego domku po drugiej stronie podwórza, skąd dobiegały go śmiechy i ciche odgłosy rozmów. Z każdego okna padało światło.

Jake patrzył przez chwilę na dom, czując się, jak zawsze, jak outsider. Oczywiście z własnej winy.

Z żadnej winy - poprawił się natychmiast, odrywając spojrzenie od budynku, w którym zebrała się cała rodzina z wyjątkiem niego. - To był wybór.

Przecież tu jest, prawda? Powrócił do miejsca, które wciąż prześladowało go w snach, i obiecał, że zostanie tu przez resztę lata. Wyjście do stodoły nie oznaczało odejścia. Po prostu potrzebował trochę czasu. Trochę spokoju i przestrzeni, żeby pomyśleć. Zastanowić się, co robić.

Pozostawił więc w domu rodzinę, którą właśnie poznawał na nowo, i udał się do stodoły, żeby popracować przy swoim motorze. Majstrowanie przy silniku i drobne regulacje uspokajały go. Zawsze tak było. Mógł się pogрузić w tym zajęciu bez reszty i zapomnieć o całym świecie.

Jake włożył klucz francuski do pudełka z narzędziami i umieścił je w stalowym bagażniku. Cieszył się, że Jeremiah jest zdrowy. Dobrze też było zobaczyć znów Sama i Coopera. Jednak powrót do Coleville okazał się cięższy, niż się spodziewał, zwłaszcza po tym, kiedy pół godziny temu Jeremiah ogłosił pewną wielką nowinę. Już samo wspomnienie jego słów sprawiało, że serce Jake'a zaczynało bić szybciej, miotane żalem i wściekłością. Uczuciami, które znał zbyt dobrze.

Przesunął spojrzeniem po słabo oświetlonej stodo-
le i stojącym w niej motorze i zaczął chodzić w kółko.
Nie mógł ustać w miejscu, kiedy jego myśli galopowały.
Wspomnienia osaczyły go z taką intensywnością, że aż
tracił oddech.

Potrząsnął głową, wyszedł ze stodoły, skręcił w pra-
wo i zatrzymał się dopiero w połowie podwórza. Sta-
nął nagle, jakby nie był pewien, co dalej. Światło księży-
ca oświecało podwórze i ziemie rozciągające się po obu
stronach starego domu.

W uszach raz po raz rozbrzmiewało mu nieoczeki-
wane oświadczenie dziadka: Donna Barrett wróciła do
miasta razem z synem Maca.

Jake ruszył dalej, kierując się w stronę sztachetowego
płotu oddzielającego podwórze od pól. Złapał się go obie-
ma rękami i trzymał mocno, jakby potrzebował uchwycić
się czegoś stabilnego, by utrzymać równowagę.

- Syn Maca - wyszeptał łamiącym się głosem. Od-
rzucił głowę do tyłu i utkwiał wzrok w odległych gwiaz-
dach. Szorstkie drewno wpijało mu się w dłonie, a on
z wdzięcznością przyjął ten lekki ból.

Wokół niego roztaczała się otwarta przestrzeń pu-
stych o tej porze roku pól. Najbliższe zabudowania są-
siadów znajdowały się o jakąś milę stąd. Można było do-
strzec jedynie złote prostokąty okien. Z oddali dobiegło
szczekanie psa.

Gwałtownie wciągnął do ściśniętych płuc chłodne
nocne powietrze. Serce waliło mu jak młotem. Przełknął
ślinę i przeniósł wzrok na swojskie ranczo Lonerganów.

Znał każdy cal tego miejsca. W dzieciństwie spędzał tu wszystkie wakacje, szalejąc z kuzynami. Czwórka młodych Lonerganów zawsze wpadała w kłopoty. Tak było aż do tamtego ostatniego lata.

Nie mógł w to uwierzyć. Nie było go w Coleville przez piętnaście lat. Przez piętnaście lat przebywał z dala od rancza, kuzynów i dziadka, którego kochał, bo nie był w stanie poradzić sobie ze wspomnieniami tamtych wakacji. Teraz wiadomość, że wówczas wydarzyło się o wiele więcej, niż myślał, była dla niego zbyt wielkim szokiem.

Wspomnienia popłynęły szeroką falą, wypełniły jego umysł i zmysły, przepełniając go, zanim zdołał je powstrzymać. Utkwił wzrok w otaczającej go ciemności, ale zamiast niej zobaczył przeszłość.

Dni były długie, świeciło słońce, a lato zdawało się trwać wiecznie. Nie było innych zmartwień niż to, kto tego dnia wygra zawody na jeziorze.

Jake nawet tym nigdy nie musiał się martwić. Zawsze wygrywał. Kochał wygrywać. Był w tym dobry.

Tego ostatniego poranka ustawili się na brzegu jeziora leżącego na terenie rancza. Zadanie było proste: skoczyć jak najdalej do lodowatej wody i jak najdłużej pozostać pod powierzchnią. Wszyscy czterej Lonerganowie skakali po kolei.

Jake czuł lodowate strumyczki ściekające mu z długich włosów na klatkę piersiową. Mrużąc oczy, wpatrywał się w błyszczącą powierzchnię jeziora w poszukiwaniu pęcherzyków powietrza. Kipiał z wściekłości i,

przeklinając, czekał na wynurzenie się Maca, którego skok był tak samo długi jak jego. Teraz, by wygrać, musiał tylko pozostać dłużej pod wodą.

Ale przecież nie mógł. Żaden z nich nie był w stanie wstrzymać oddechu tak długo jak Jake.

Cholera.

Sam zaczął się martwić i powtarzać, że powinni po niego popłynąć, bo Mac nigdy nie był tak długo pod wodą.

- Daj mu jeszcze minutę, Sam - powiedział Cooper.
- On naprawdę chce pobić Jake'a. Ja też chcę, żeby mu się udało. Nic mu nie będzie, nie zachowuj się jak stara baba.

Jake był wściekły i z ust płynęły mu wszystkie przekleństwa, jakie znał. Nie mógł uwierzyć, że Mac właśnie ma szansę go prześcignąć.

- Damy mu jeszcze pół minuty - powiedział Sam z uśmiechem. - Jak tak dalej pójdzie, pobije rekord Jake'a.

Jake zacisnął pięści na płocie. W dłoń wbiła mu się drzazga i ostry ból przywołał go do rzeczywistości. Całe szczęście. Niechętnie wspominał tamten dzień.

Chociaż Bóg wie, jak często wciąż go przeżywał w swoich snach.

Emocje tak się w nim burzyły, że nawet nie potrafił ich wszystkich zidentyfikować - wiedział jedynie, że go duszą. Obrócił się lekko i zerknął przez ramię na dom. Przez firanki w kuchni mógł dostrzec całą rodzinę, najwyraźniej tłoczącą się tam wciąż po wiadomości przekazanej przez

dziadka. Pewnie powinien był z nimi zostać i wszystko przedyskutować. Ale co było do powiedzenia?

Każdy wiedział, co miał robić. Nie było nic do omawiania. Żadnych decyzji do podjęcia.

Mac miał syna.

To wszystko.

Kiedy tak rozmyślał, tylne drzwi domu otworzyły się i na zewnątrz wyszli jego kuzyni, Sam i Cooper. Od razu go dostrzegli i ruszyli w jego stronę.

Jake puścił sztachetkę, odwrócił się i oparł o płot. Drzazga uwierała go w dłoń. Skrzyżował ramiona na piersi i czekał na kuzynów. Wiatr uniósł w powietrze wirującą chmurę kurzu.

Sheba, nowe szczenię golden retrievera dziadka, wyskoczyła zza powoli zamykających się drzwi i zbiegła po schodach. Popędziła za Samem i Cooperem i radośnie zamierdała ogonem, kiedy Sam ukląkł i zgarnął ją pod pachę.

Jake patrzył na twarze zbliżających się mężczyzn, rozpoznając charakterystyczne rodzinne rysy. Cała trójka była do siebie bardzo podobna. Ich nieżyjąca już babka mawiała, że wszyscy mają „rysy Lonerganów”. Ciemne włosy i oczy, szeroką szczękę świadczącą o uporze i twardą głowę.

Ależ się stęsknił za chłopakami.

Dawniej byli sobie bliscy jak bracia. Te piętnaście lat, które minęły od chwili, gdy widział ich po raz ostatni, były najbardziej samotnym okresem jego życia. Wciąż jednak nie był w nastroju do rozmów. Nawet z nimi.

- Wyszedłem, bo chciałem być sam - powiedział Jake,

wiedząc, że nie odniesie to skutku. Kuzyni zawsze przychodzili i odchodzili, kiedy oni mieli na to ochotę. Zupełnie jak on sam.

- Dobra, dobra - powiedział Sam, podnosząc brodę, aby uniknąć psich pocałunków. - Nie jesteś sam. Lepiej się do tego przyzwyczaj.

Jake uważał, że to niemożliwe.

Samotność była lepsza.

Prostsza.

- Musimy się zastanowić, co robić - powiedział Cooper.

Jego wypowiedź nikogo nie zaskoczyła. Cooper zawsze lubił mieć dobry plan. Prawdopodobnie przydawało mu się to podczas pisania tych jego horrorów. W ciągu ostatnich lat powieści Coopa stawały się bestsellerami i prawdopodobnie były przyczyną koszmarów sennych co najmniej połowy Ameryki.

- A nad czym tu się zastanawiać? - zapytał Jake, odrywając się od płotu i przyjmując nieświadomie pozycję wojownika. - Mac ma syna. Ten dzieciak jest Lonerganem. Jednym z nas.

- Wyluzuj - powiedział Sam, odstawiając psa, który zaczął biegać w kółko po podwórzu. Pokiwał nad nim głową, a następnie spojrzał na Jake'a. - Uważam, że nie powinniśmy od razu tam biec, żeby powitać dzieciaka w rodzinie.

- A dlaczego nie? - Jake zezłościł się, ale starał się powstrzymać nerwy. - Jesteśmy mu to winni. Jemu i Macowi.

- Do diabła, Jake - uciał Sam. - Nie jesteś tu jedyną osobą, która czuje się z tym okropnie, wiesz? Ale to nie znaczy, że powinniśmy się narzucać Donnie i wtrącać się w życie jej dziecka.

- A kto tu mówi o narzucaniu się? - nie zgodził się Jake. - Myślę, że powinniśmy pójść go zobaczyć. Opowiedzieć mu o Macu. O tym, ile dla nas znaczył. Co w tym złego?

- Jake, ten dzieciak może nawet nie wie, że jest Lonerganem - powiedział cicho Cooper. - Nie wiemy, co Donna mu powiedziała. Może są rzeczy, o których nie chce, żeby się dowiedział.

To go przekonało. Jake zaczerpnął powietrza, jakby się przygotowywał do kolejnego skoku do jeziora. To oczywiste, że Donna powiedziała dziecku o Macu. Dlaczego miałyby tego nie zrobić? Przeciągnął ręką po twarzy i wypuścił powietrze.

- Dobrze. Pójdę zobaczyć się z Donna.

- Chciałeś powiedzieć: pójdziemy zobaczyć się z Donna - poprawił go Sam i zagwizdał na psa biegnącego w kierunku stodoły.

- Nie, pójdę sam - powtórzył Jake, przenosząc wzrok z jednego kuzyna na drugiego, żeby się upewnić, czy zrozumieli. - Sam z nią porozmawiam.

- A dlaczego to ty miałbyś iść? - spytał Cooper.

Dobre pytanie, pomyślał. Ale nie mógł im na nie odpowiedzieć. W każdym razie nie mógł powiedzieć im prawdy.

- Wy macie inne rzeczy na głowie - zauważył. - On

ma nowy gabinet lekarski, a ty prawdopodobnie piszesz kolejną książkę...

- No i co z tego? - zaprotestował Cooper.

- To, że musicie się też zajmować Maggie i Kara, A ja nie. - Kiepski argument, ale nic lepszego nie przyszło mu do głowy. - Sam spotkam się z Donna i zobaczę dzieciaka. Wtedy we trzech zdecydujemy, co robić.

Sheba przybiegła i szcękając jak szalona, domagała się uwagi. Jake był jej za to wdzięczny. Kuzyni przyjrzeni mu się wnikliwie i wreszcie kiwnęli głowami.

- W porządku - powiedział Sam. - Ale nie rozmawiaj z dzieckiem bez nas. To dotyczy nas wszystkich. Razem.

„Razem” było słowem, którego Jake nieczęsto używał w ciągu ostatnich piętnastu lat. Samotny mężczyzna robił to, na co miał ochotę, i nie musiał się liczyć z nikim innym. Ale teraz wrócił do Coleville i wszystko się zmieniło.

Przynajmniej na jakiś czas.

- Co to znaczy: „Mam randkę”? - Donna Barrett zamrugała powiekami i spojrzała na matkę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

Jej matka i randki?

- Zastanów się, kochanie - odpowiedziała matka, zerkając przez ramię w lustro, żeby sprawdzić, czy czarna spódnica dobrze leży. - Co mogę mieć na myśli?

Donna opadła na łóżko matki. Pod nagimi udami poczuła chłód ręcznie robionej miękkiej kapy przykrywającej podwójny materac. W lecie w Coleville nawet

w klimatyzowanym domu było na tyle gorąco, że noszenie szortów stawało się koniecznością.

Potrząsnęła głową i patrzyła, jak jej matka, Catherine, stroi się niczym nastolatka na bal maturalny. Wyprostowała się przed lustrem, poprawiła makijaż i nastroszyła palcami krótkie kasztanowe włosy.

- Twój tata umarł już dwa lata temu - powiedziała, uśmiechając się porozumiewawczo do własnego odbicia.

Donna westchnęła. To prawda. Jeff Barrett, zdrowy i krzepki pięćdziesięcioletni, dwa lata temu nieoczekiwanie zmarł na atak serca. Donna mieszkała wtedy w Colorado. Matka upierała się, że daje sobie radę i że Donna powinna się zajmować swoim życiem.

Tak też próbowała, rozmawiając z nią prawie codziennie przez telefon i często odwiedzając. Wreszcie, kilka miesięcy temu, udało jej się przewyciężyć obiekcje matki i wróciła do domu. I chociaż Catherine nie chciała się do tego przyznać, ulga malująca się na jej twarzy powiedziała Donnie wszystko.

Donna musiała wrócić do domu. Z wielu powodów. Jednak przebywanie w tym miejscu nie było łatwe, zwłaszcza teraz, kiedy dwóch Lonerganów znowu było w mieście. Raz już wpadła na Coopera w sklepie. Z Samem, nowym lekarzem miejskim, też wcześniej czy później z pewnością będzie zmuszona się zetknąć.

A Sam zobaczy Erica.

Na myśl o synku Donna nerwowo przygryzła dolną wargę. Teraz już nie mogła się wycofać. Wróciła do do-

mu na dobre, bo tak jest lepiej i dla mamy, i dla niej. Dla Erica również. Tylko dlaczego tak trudno jej się tu odnaleźć?

Przez tyle czasu byli tylko we dwójkę, a teraz wszystko się zmieniło.

Czuła się, jakby była na zepsutym diabelskim młynie, który nie przestaje się kręcić: w górę, w dół i znów w górę. Żołądek podchodził jej do gardła i musiała walczyć o każdy oddech.

Matka patrzyła na nią z troską, więc Donna oddechnęła myśli na bok i spróbowała się uśmiechnąć.

- Trudno uwierzyć, że taty już tak długo nie ma.

- To prawda - powiedziała miękko matka. - Ale nie myślałaś teraz o swoim tacie.

- Właśnie, że myślałam - zaprotestowała Donna.

- O tacie, o Macu i o Ericu... i o wszystkim - dodała z bezbronnym uśmiechem. - Chyba nie lubię zmian.

- Wiem. - Spojrzenie Catherine powędrowało do małego zdjęcia Jeffa Barretta, które stało na toalecie. - Wiele czasu upłynęło, zanim uwierzyłam, że twojego taty naprawdę już nie ma. Czasami wciąż wydaje mi się, że zaraz usłyszę jego głos z drugiego pokoju.

Świetnie. Brawo, Donno. Zdołować matkę tuż przed jej wielkim wyjściem.

- Wiesz, gdyby tu był, na pewno powiedziałby ci, że świetnie wyglądasz.

Catherine uśmiechnęła się. Zadanie wykonane.

- To od kiedy spotykasz się z tym facetem? No i co o nim wiemy?

- Bardzo śmieszne - odpowiedziała sucho matka. -
Wiem wszystko, co trzeba. Zaczęłam się spotykać z Mi-
chaelem pół roku temu.

- Pół roku temu? - Donna wytrzeszczyła oczy. - A ja
dowiaduję się o tym dopiero teraz?

- Myślałam, pewnie głupio, że mogłabyś to źle przyjąć.
- Wargi Catherine drgnęły.

Na zewnątrz pies sąsiada czekał do księżycy, a zra-
szacz zasyczał, zaterkotał, po czym woda wystrzeliła
z niego na szeroki trawnik. Chłodne powietrze z szu-
mem płynęło z klimatyzatora. Mijały sekundy, a Donna
starła się przyswoić sobie ten nowy fakt.

Jej matka prowadziła bogatsze życie towarzyskie niż
ona sama.

- Jestem tylko... zaskoczona, to wszystko - powiedzia-
ła wymijająco. - Kim jest ten Michael i dlaczego go jeszcze
nie widziałam? Mieszkam tu już od dwóch miesięcy.

Catherine zaśmiała się, a jej ciemnoniebieskie oczy,
takie same jak Donny, zamigotały.

- Nie spotykaliśmy się zbyt często, od kiedy wróciłaś
do domu. Chciałam, żebyś miała trochę czasu, zanim...
- urwała. Po krótkiej pauzie dodała: - Zresztą znasz go.
To Michael Cochran.

- Pan Cochran? - wykrzyknęła Donna, zeskakując
z materaca. - Mój nauczyciel od biologii?

Catherine podniosła torebkę, otworzyła ją i schowała
portfel i szminkę.

- On już nie jest twoim nauczycielem.

- No tak, ale...

- Donno... - ton głosu matki zmienił się nieco - ciesząc się, że wróciłaś do domu. A Michael nie jest twoim nauczycielem już od piętnastu lat.

- To prawda - przyznała Donna, siadając z powrotem w nogach łóżka. - Tylko to takie... dziwne. Myśl, że umawiasz się z kimś, kto nie jest, no wiesz, tatą.

Catherine uśmiechnęła się lekko, usiadła obok córki i objęła ją ramieniem.

- Mnie też było ciężko. Na początku. Ale czy nam się to podoba, czy nie, życie toczy się dalej, kochanie. A ja jestem zmęczona samotnością. Rozumiesz to, prawda?

Samotność? O, tak. Donna rozumiała samotność.

I strach.

I smutek.

- No pewnie, że rozumiem - odpowiedziała. - Po prostu zaskoczyłaś mnie. To wszystko.

Mama przytuliła ją mocno i podskoczyła na dźwięk dzwonka. Zerknęła w stronę otwartych drzwi.

- To pewnie Michael.

- Baw się dobrze - powiedziała Donna, starając się uśmiechnąć, chociaż nie czuła radości. Niełatwo patrzeć, jak własna matka idzie na randkę. Zwłaszcza z twoim dawnym nauczycielem.

- Na pewno wszystko w porządku?

Donna przewróciła oczami.

- Tak, mamo, w porządku. Zamówimy sobie pizzę albo coś innego. Idź. Baw się dobrze.

- No to na razie. - Catherine pomachała ręką i wybiegła z sypialni.

- Na razie. - Donna siedziała tam jeszcze dobrą minutę, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze.

Nic nie było tak samo, wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Ale czy wszystko musiało się zmieniać naraz?

Zadzwonił telefon. Poderwała się z łóżka i pospieszyła go odebrać. To pewnie Eric będzie ją błagał, żeby móc zostać nieco dłużej na minigolfie.

Podniosła słuchawkę.

- Halo, Eric?

- To nie ten Lonergan, Donno - powiedział głęboki głos. - Tu Jake.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Donno? Jesteś tam jeszcze? - powtórzył Jake.

Wydawało mu się, że milczenie w słuchawce trwa wieczność. Z salonu, gdzie zebrana była reszta rodziny, dolatywały do niego śmiechy i urywki rozmów. Jake stał przy oknie w kuchni i patrząc w noc, starał się wyobrazić sobie twarzy Donny.

Przed oczami stanął mu dzień, w którym widzieli się po raz ostatni. Szła przez cmentarz pomiędzy nagrobkami udekorowanymi przywiedłymi bukietami. Jej kroki były powolne, niepewne, drżące. Miała pochyloną głowę, a długie blond włosy zwisały po obu stronach jej twarzy niczym miękka kurtyna oddzielająca ją od świata. W drodze do samochodu rodziców zatrzymała się przy Jake'u i podniosła ku niemu twarz.

Jake znów poczuł to samo co wówczas ukłucie bezsilności, kiedy spojrzała na niego niebieskimi, zaczerwienionymi od płaczu oczami. Świeże łzy spływały po jej bladych policzkach, lśniąc w blasku słońca. Zaciśnęła wargi i nic nie powiedziała. Przez długą chwilę patrzyła na niego, zanim się odwróciła i odeszła. Jake stał samotnie i mógł tylko odprowadzić ją wzrokiem.

Dwa tygodnie później dziewczyna opuściła Coleville, nie powiedziawszy nikomu, dokąd się wybiera.

- Czego chcesz, Jake? - zapytała wreszcie Donna, odrywając go od rozpamiętywania przeszłości. Wepchnął więc stare wspomnienia do głębokiego ciemnego dołu, który wykopał dla nich przed laty.

- Jeremiaś powiedział nam o synu Maca.

Wciągnęła gwałtownie powietrze.

- O moim synu - poprawiła go.

- Oczywiście, to również twój syn - powiedział, bardziej szorstko niż zamierzał. Położył rękę na ścianie i wzdrygnął się, bo wciąż tkwiąca w jego dłoni drzazga wbiła się nieco głębiej. Przysunął się bliżej okna i przez własne odbicie w szybie patrzył na niebo. Spadająca gwiazda przecięła czerń, pozostawiając za sobą ogni-
stą smugę. Zamknął oczy, spróbował się uspokoić i zaczął ponownie: - Chciałem tylko powiedzieć, że wiemy o nim i że chcielibyśmy...

- Naprawdę, Jake, nie obchodzi mnie, co byście chcieli. - Donna przerwała mu, zanim zdążył dokończyć.

- No cóż, dobrze wiedzieć, że zachowujesz się rozsądnie.

- Jestem bardzo rozsądna. To nie ja do ciebie zadzwoniłam - przypomniała mu gniewnie.

- Nie, do cholery, oczywiście, że nie zadzwoniłaś - rzucił oskarżycielsko Jake. - Ani wtedy, ani teraz.

Westchnęła niecierpliwie.

- Posłuchaj, wiem, że prawdopodobnie chcesz dobrze...

- Prawdopodobnie? - Jake odsunął słuchawkę od

ucha, popatrzył na nią ze zdumieniem i przyłożył z powrotem. - Prawdopodobnie chcę dobrze?

- Okej. Chcesz dobrze. Ale ja niczego od was nie potrzebuję. Mój syn niczego od was nie potrzebuje.

- Nie musisz skakać mi do gardła. Ja tylko...

- Co? - spytała. - Ty tylko co?

- Cholera, czy musisz być taka napastliwa?

- Odczep się, Jake. Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

Jake potrząsnął głową i w myślach przeklął się za zepsucie wszystkiego. Powinien był pamiętać, jak ciężko jest się dogadać z Donna. Powinien był się starać zachować spokój. Powinien był spróbować z nią porozmawiać, nie wywołując trzeciej wojny światowej.

- Wszystko utrudniasz - westchnął.

- Jake, nie musimy nic robić - odrzekła. - To, że wróciłam do domu, nie znaczy, że pragnę dzielić się synem z kuzynami Lonerganami.

- Tym gorzej dla ciebie - odparował szybko, zapominając, że miał być spokojny. Do diabła, już sam dźwięk jej głosu po tylu latach wystarczył, żeby przekreślić wszelkie szanse na „spokój”.

Odwrócił się od okna, oparł o ścianę i wbił spojrzenie w sufit, oddychając ciężko. Zaciśnął dłoń na słuchawce i wysiłkiem woli starał się, aby jego głos brzmiał równo.

- Ten dzieciak jest jednym z nas. Zasługuje na to, żeby o tym wiedzieć.

- Ten dzieciak - podkreśliła słowo, którego użył, a Jake stłumił jęk - ma na imię Eric. I wie, kim był jego ojciec - powiedziała cicho. - Powiedziałam mu wszystko o Macu.

- Boże. - Jake poczuł ucisk w gardle. Drzwi do salonu otworzyły się i do kuchni wszedł Sam, patrząc na niego pośpiesznie. Jake rzucił mu gniewne spojrzenie i ruchem głowy pokazał drzwi, nakazując wyjście. Sam stanął w miejscu i potrząsnął głową.

Jake zignorował go i zniżył głos do szeptu.

- Donno, my tylko chcemy z nim porozmawiać.

Zapadła dłuższa chwila ciszy. Na tyle długa, że Jake pomyślał, że odłożyła słuchawkę i odeszła.

- Przemyśle to - rzuciła Donna i zakończyła rozmowę.

Rozległ się sygnał. Jake zacisnął zęby. Powoli podszedł do wiszącego na ścianie telefonu i starannie odwiesił słuchawkę.

- Proszę, proszę - zauważył cierpko Sam. - Słyszę, że świetnie ci poszło.

- Odczep się.

- Byłeś jak zwykle fantastyczny.

Jake rzucił mu spojrzenie, które mogło zabić na miejscu, ale na Samie nie wywarło żadnego wrażenia.

- Daruj sobie te miny. Zbyt długo cię znam.

Jake z frustracją wypuścił powietrze, gwałtownie potarł ręką kark i wzruszył ramionami.

- Nie chciała ze mną rozmawiać - przyznał.

- Nic dziwnego. - Sam przeszedł obok Jake'a, kierując się do lodówki.

- Jak to? - zaoponował Jake. - Dlaczego miałyby nie chcieć ze mną rozmawiać?

Sam otworzył lodówkę i szukał czegoś w środku.

- Tu nie chodzi o ciebie. Myślę, że potraktowałyby w ten sposób każdego z nas. Jake, w końcu ona przez piętnaście lat ukrywała przed nami istnienie syna Maca. To chyba jasne, że chce to tak zostawić.

- No tak. - Jake oparł się o blat kuchenny, krzyżując nogi i ręce. Poczekał, aż Sam się wyprostuje i zamknie lodówkę biodrem, i dodał: - Ale niech wie, że się na to nie zgodzimy. Nie teraz, kiedy wiemy.

- Na pewno wie. Ale to nie znaczy, że jej się to musi podobać. - Sam w każdej dłoni trzymał po dwie butelki piwa. - Musimy być cierpliwi. I delikatni.

- Potrafię być delikatny.

- Jasne - prychnął Sam.

Jake zmarszczył brwi, oderwał się od blatu i włożył obie ręce do kieszeni dzinsów.

- Zajmę się tym.

Sam popatrzył na niego przeciągle.

- No dobra - powiedział wreszcie. - Poczekamy, aż zavalisz sprawę, a potem wkroczymy do akcji.

- Dzięki za wotum zaufania.

- Nie obraż się, Jake, ale cierpliwości akurat zawsze ci brakowało - zachichotał Sam.

Jake'owi zabrakło argumentów. Sam wrócił do reszty rodziny zgromadzonej w salonie. To prawda, Jake nigdy nie był cierpliwy. Przed laty udało mu się nauczyć panować nad wybuchami gniewu, ale niecierpliwość ciągle w nim tkwiła.

To poczucie palącej konieczności osiągnięcia czegoś przydawało mu się podczas wyścigów. Przekraczał gra-

nice, oczekując od swojej maszyny więcej niż inni za wodnicy. Sam jednak miał rację. W przypadku Donny niecierpliwością nic nie wskóra.

Chciałby wiedzieć, co robić.

- Słyszałaś? Jake Lonergan wrócił do miasta.

Donna drgnęła na dźwięk jego imienia, ale zachowała na twarzy nieprzenikniony uśmiech i wytrzymała chłodne spojrzenie niebieskich oczu Margie Fontenot. Ta starsza kobieta przez całe życie mieszkała w Coleville, a jej poczta pantoflowa działała bez zarzutu. Wiedziała o wszystkim, co się działo w miasteczku.

- Słyszałam.

- Nic dziwnego - powiedziała Margie, podając jej DVD ze swoim ulubionym musicalem. - W miasteczku o niczym innym się nie mówi, jak tylko o chłopakach Lonergana, którzy przyjechali wreszcie do domu. Jake jako ostatni. Sama widziałam go dwa dni temu, gdy jechał przez centrum na motorze tak głośnym, że zbudziłby umarłego.

- To do niego podobne - udało się wtrącić Donnie pomimo dziwnego dławienia w gardle. Zastanawiała się, jak to się stało, że przegapiła widok Jake'a na motorze. I dlaczego było jej z tego powodu przykro.

Palce jej drżały, kiedy wzięła DVD i przesunęła kod kreskowy pod czytnikiem.

- Dwa dolary za wypożyczenie do pięciu dni, Margie.

- Dobra cena - starsza pani zaczęła grzebać w torebce wielkiej niczym walizka. Wreszcie wyciągnęła kwiecistą

portmonetkę o wściekłych kolorach, z której wysypała na ladę stos różnego rodzaju monetek. - Wiesz - ciągnęła dalej, odliczając odpowiednią sumę - chłopaki Loneraganów zawsze byli dzikusami. Mówiłam Jeremiahowi, żeby trzymał ich krótko, ale nie potrafił. Uwielbiał patrzeć na całą czwórkę.

Czwórkę.

Ostry, słodki i dobrze znajomy ból umiejscowił się w piersi Donny. Musiała wstrzymać oddech.

Pograżyła się we wspomnieniach, nie słuchając trajkotania Margie Fontenot. Było czterech kuzynów: Sam, Cooper, Mac i Jake. Piętnaście lat temu ona sama należała do ich ekskluzywnej grupy. Głównie ze względu na Maca. Rozpogodziła się, wspominając łagodny uśmiech i miłe oczy szesnastolatka.

- Oczywiście - ciągnęła Margie z westchnieniem - po tej tragedii nic już nie było takie, jak dawniej. - W zamyśleniu zmrużyła oczy. - Ale ty wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny, prawda?

- Chyba tak - przyznała Donna niedbale, nie chcąc dawać Margie więcej powodów do plotek, niż już miała. Prawdopodobnie przyszła do wypożyczalni wyłącznie po to, żeby zasięgnąć języka.

Inne kobiety w miasteczku pewnie nie mogły się doczekać, co się stanie teraz, kiedy Donna przywiozła do domu swojego syna. Wystarczyło jedno spojrzenie na Erica i jego pochodzenie stawało się jasne. Wyglądał identycznie jak Mac w jego wieku. Nie było wątpliwości co do tego, kim był jego ojciec.

Miał ciemne oczy i włosy Lonerganów, i taki sam uśmiech, jaki zawsze rozświetlał twarz Maca. Eric stał jak Mac, poruszał się jak Jake, miał wyobraźnię Coopera i mądrość Sama.

Miał też serce swojej matki.

A Donna była gotowa zrobić wszystko, żeby tylko uchronić go przed bólem.

- Już dobrze, kochana. - Margie wyciągnęła dłoń o nieskazitelnie wypielegnowanych paznokciach i poklepała Donnę po ramieniu. - Nie martw się tym.

- Nie martwię się, Margie.

- No to dobrze. Nie trzeba. Wiesz, czas, żeby twój chłopak poznał swoją rodzinę.

Donna powoli wciągnęła powietrze i powiedziała sobie w duchu, że starsza pani ma dobre intencje.

- Dziękuję. Będę o tym pamiętać.

- Zawsze byłaś dobrą dziewczyną.

Margie chwyciła swoją olbrzymią torbę, wzięła film i wyszła. Donna wypuściła powietrze, uspokoiła się i wysunęła zza lady. Przeszła między regałami, wyrównała okładki filmów i powyciągała egzemplarze science fiction z sekcji komedii romantycznych, a kreskówki spośród horrorów.

Potrząsając głową, powkładala wszystko na miejsca. Starala się nie myśleć o tym, co powiedziała Margie. Ani o telefonie Jake'a ostatniego wieczoru. Lepiej będzie, jeśli skoncentruje się na prowadzeniu wypożyczalni założonej przez rodziców już tyle lat temu. Lepiej, jeżeli będzie sobie powtarzać, że wróciła do Coleville nie

tylko z powodu samotności matki, ale również dlatego, że Eric dorastał. Potrzebował w swoim życiu mężczyzny. Potrzebował... więcej, niż była w stanie mu dać.

Och, jak bolało przyznanie się do tego.

Drzwi frontowe otworzyły się za nią z rozmachem i na powitanie zadźwięczał krowi dzwonek, który jej ojciec zawiesił wiele lat temu. Donna odwróciła się i uśmiechnęła.

- Cześć, mamó - zawołał Eric, chwytając leżący na ladzie batonik.

- Hej, a obiad już jadłeś? - zapytała automatycznie.

- Tak - odrzekł, oddzierając kolorowe opakowanie i nadgryzając czekoladę. - Babcia zabrała mnie na burgera. - Chłopiec zaczął przeglądać stertę zwrotów, których nie odłożyła jeszcze na półkę. - Super! - wykrzyknął, sięgając po coś, co wyglądało na krwawą jatkę.

- Mogę to wziąć do domu?

- Absolutnie nie. - Podeszła na tyle blisko, by wyciągnąć mu z ręki film i ugryźć jego batonik. - Dozwolone od lat osiemnastu, kolego - dodała, patrząc z obrzydzeniem na okładkę ze zdjęciem, na którym lała się krew.

- Jaką mam korzyść z dostępu do tych wszystkich filmów, jeżeli nie pozwalasz mi oglądać tych, które chcę? - naburmuszył się Eric, przechodząc do działu horrorów.

- Och, życie jest ciężkie. - Donna z uśmiechem przyglądała się, jak jej syn schyla się, by zajrzeć na dolną półkę.

Zdarzyło się w jej życiu wiele rzeczy, których żałowała, ale nigdy tego, że ma Erica. Był jej sercem. Jej życiem. Jedyną częścią jej świata, która zawsze miała sens.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- To ja zawsze to powtarzam. Ale czy ktoś mnie słucha?

- Hm... - Pokiwała głową i odwróciła się, bo drzwi znowu się otworzyły. Tym razem się jednak nie uśmiechnęła. Zaparło jej dech w piersiach, a serce dziko zatrzepotało. - Jake.

Wydawało się, że wypełnia sobą całe drzwi. Miał szerokie bary, wąską talię i nogi długie na trzy mile. Ubrany był w białą koszulkę, czarne dżinsy i zniszczone buty z kwadratowymi czubkami. Czarne długie włosy wciąż związywał z tyłu w kucyk. Ciemne okulary ukrywały przed nią jego oczy. Być może tak było lepiej.

Ale ledwo o tym pomyślała, ściągnął je i zawiesił w wycięciu koszulki. Ciemne oczy spojrzały na nią i poczowała, jak ogarnia ją fala ciepła.

- Donna. Świetnie wyglądasz.

ROZDZIAŁ TRZECI

Niebieskie oczy Donny rozszerzyły się, a gorąca czerwień wypełzła jej na policzki. Wstrzymała oddech, a Jake zauważył, że przygryzła dolną wargę.

- Nie - wyszeptała, potrząsając głową i robiąc powoli krok do tyłu.

- Donna... - Nawet klimatyzacja ustawiona w sklepie na maksimum nie mogła zagasić ogarniającego go płomienia. Każda komórka jego ciała drżała i niemalże czuł iskrzącą się wokół nich elektryczność.

Cholera.

Nie spodziewał się, że jej widok zrobi na nim takie wrażenie. A powinien. Powinien pamiętać, co była w stanie z nim zrobić piętnaście lat temu przy pomocy jednego tylko spojrzenia.

W tamtych czasach nawiedzała go we wszystkich snach i dręczyła codziennie. Nawet gdyby chciał, nie mógł jej unikać - była dziewczyną Maca.

Cierpiał więc w milczeniu, pragnąc jej tak, jak tylko siedemnastolatek potrafi. Przepęłniała każdą jego myśl, każde marzenie, każde pragnienie. Była nieosiągalna.

Aż do tamtej nocy, owego ostatniego lata.

Wtedy była jeszcze dzieckiem. Miała piętnaście lat. Była czymś najpiękniejszym, co w życiu widział. A teraz była kobietą i jej wygląd zapierał mu dech w piersiach.

- Jake, nie powinienes tu przychodzić.

- Donno, chcę tylko porozmawiać - powiedziała, podchodząc bliżej do lady, za którą schroniła się niczym za tarczą. To było kłamstwo, pomyślał. Chciał o wiele więcej, niż tylko porozmawiać. W jego myślach pojawiły się obrazy wszystkiego, co pragnął z nią robić. Jego ciało napięło się.

Oczy Donny były niespokojne.

- Nie bój się. Nie będę gryzł. Chyba że... będziesz chciała.

- Przestań. - Zerknęła przez ramię, a Jake podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

Natychmiast dostrzegł chłopca. Siedzący w kucki nastolatek przeglądał filmy na najniższej półce. Kiedy wyjął jeden z nich i wyprostował się, Jake mógł mu się przyjrzeć. Wysoki i szczupły chłopiec miał czarne włosy, ciemne oczy, a na jego twarzy malowała się ciekawość.

Jake znieruchomiał. Eric wyglądał dokładnie jak Mac tamtego ostatniego lata. Zupełnie, jakby przeniesiono go w czasie. Poczuł mocne ukłucie żalu.

- Mamo, a ten? - zapytał chłopiec, podchodząc do lady. - Nie ma krwi, ale są duchy i takie tam. - Zerknął na Jake'a. - Dzień dobry.

- Dzień dobry.

- Dobrze - powiedziała pospiesznie Donna. Tylko Jake zauważył, że jej uśmiech był sztuczny. - Zabierz to

do domu, kochanie. Powiedz babci, że przyniosę kurczaka na kolację.

- Super - odpowiedział. - A mógłbym dostać pięć dolców? Mam się spotkać z Jasonem w barze i...

- Pewnie. - Nie czekała na pełne wyjaśnienie. Wcisnęła guzik na kasie, a kiedy szuflada się wysunęła, wyjęła pięciodolarowy banknot i podała synowi.

- To było proste - powiedział dzieciak, wychodząc i rzucił Jake'owi uśmiech.

Krowi dzwonek dzwięczał przez jakąś minutę, po czym umilkł. Jake wciąż patrzył za chłopcem. Wreszcie Donna przerwała milczenie.

- Jake, skoro zobaczyłeś Erica, to może już pójdziesz?

Odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy. Te same, które przez piętnaście lat widywał w swoich snach.

- Wygląda tak jak on.

- Wiem.

Jake przeciągnął dłonią po twarzy.

- Nie wiedział, kim jestem.

- Skąd miał wiedzieć? - Donna zaczęła ustawiać zwroty w porządku alfabetycznym. - Przecież nigdy wcześniej cię nie widział.

To zabołało.

Jake omiół spojrzeniem wnętrze sklepu. Nie zmieniło się tu wiele w ciągu ostatnich lat. Było teraz wprawdzie więcej kaset DVD niż wideo, ale wystrój pozostał ten sam. Ściany pomalowane były na biało, a plakaty wypełniały każdy możliwy ich skrawek. Okna wycho-

dzące na główną ulicę błyszczały w słońcu, a w stojącym na końcu lady telewizorze wyświetlany był film przygodowy.

Westchnął i przeniósł wzrok na Donnę.

- Gdybyśmy o nim wiedzieli, wszystko ułożyłoby się inaczej - powiedział cicho.

Podniosła na niego wzrok, a jej dłonie znieruchomiały.

- Wiem. Ale zrobiłam to, co musiałam.

- Sama?

- Nie byłam sama - odparła i podjęła przerwana pracę. - Miałam ciocię Lily. Ona była... - Donna urwała i uśmiechnęła się. - Cudowna.

Jake cieszył się, że nie była całkiem sama. Starał się wyobrazić sobie, jak to musiało być. Była jeszcze dzieckiem. W ciąży. Daleko od domu. Ojciec dziecka nie żył.

Poczuł znajome ukłucie bólu.

- To było dawno, Jake - powiedziała miękko, jakby czytając w jego myślach.

- Tak, czasami mam wrażenie, jakby to było w innym życiu - przyznał. - Ale kiedy indziej czuję, jakby się zdarzyło wczoraj.

Donna zebrała się w sobie i podniosła ku niemu wzrok. Zaskoczył ją, przychodząc tutaj. To pewnie dlatego zrobiło jej się tak gorąco, kiedy tylko go zobaczyła. A brzmienie jego głosu przypomniało jej o nocy, która odmieniła całe jej życie.

Odetchnęła głęboko, wzięła stertę filmów i wyszła zza lady ku szerokim alejkom. Nie zaskoczył jej odgłos cięż-

kich kroków Jake'a za plecami. Skoncentruj się na pracy - powiedziała sobie. - Na filmach. - Włożyła komedię romantyczną na wolne miejsce w dziale science fiction. Jake natychmiast wyjął ją z powrotem.

- To nie tutaj.

- Wiem.

- To co, sprawdzasz mnie? - parsknął.

- Nie - zabrała mu film i szybko przeszła do właściwego regału. - Jake, staram się pracować. Może jednak sobie pójdziesz?

- Nie wyjdę, dopóki nie porozmawiamy.

Zatrzymała się, wrzuciła pudełko w odpowiednie miejsce i odwróciła się do niego. Nawet mimo tego, że była przygotowana na jego spojrzenie, poczuła przebiegającą między nimi iskrę.

- Już rozmawialiśmy. Widziałeś Erica. Teraz idź.

- Widziałem go, ale go nie poznałem. Nie rozmawiałem z nim. - Podszedł bliżej, a Donna mogłaby przysiąc, że czuje napływające ku niej falami ciepło jego ciała. - Sam zdecyduję, kiedy wyjść.

Boże, zajmował tyle miejsca.

Musiała odchylić głowę, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. Był wysoki, wyższy, niż pamiętała. Jego barki stały się szersze, a klatka piersiowa bardziej umięśniona. Włosy wciąż miał gęste i długie. Miała ochotę zerwać skórzaną wstążkę z kucyka i przeczesać je palcami. Mocną szczękę pokrywał zarost. Przypatrując się jej, ściągnął ciemne brwi.

Teraz był jeszcze bardziej pociągający niż jako nasto-

latek. A już wtedy nikt nie działał na nią tak jak Jake Lonergan.

Grając na zwłokę, Donna gwałtownie odwróciła się i przeszła do regału z dramatami. Tam odłożyła na miejsca cztery filmy, a resztę zaniósła do działu dziecięcego. Jake był o krok czy dwa za nią.

Wiedziała, że na nią patrzy. Czuła na sobie jego wzrok tak intensywnie, że wzdłuż pleców przeszedł jej dreszcz, a krew zaczęła szybciej krążyć. Gdzieś głęboko w niej coś dziko zatrzepotało i obudziło się do życia, chociaż starała się to zignorować.

- To prowadzisz teraz wypożyczalnię, tak?

Donna rzuciła mu krótkie spojrzenie przez ramię.

- Widzę, że nic ci nie umknęło.

- Fajnie. - Przeszedł koło niej, przesuwając czubkiem palca po półce. - Ale myślałem, że będziesz nauczycielką.

- Co? - Zatrzymała się przy klasyce.

- Przecież mówiłaś, że chciałybyś być nauczycielką.
- Uśmiechnął się, a Donna poczuła, że świat wiruje jej przed oczami.

- Pamiętasz to?

- Pamiętam wszystko - odpowiedział miękko Jake.

Zamknęła oczy, bo wydawało jej się to bezpieczniejsze, niż utrzymywanie kontaktu wzrokowego z Jakiem. Niestety, kiedy nie patrzyła, podszedł bliżej. W momencie, kiedy położył ręce na jej ramionach, otworzyła oczy i lekko się zachwiała. Szybko się wyprostowała.

Wysunęła się spod jego dotyku i potrząsnęła głową, jakby strząsając iskrzące się w niej uczucia.

- Musisz przestać mówić takie rzeczy.

- Dlaczego?

- Bo już nie jesteśmy dziećmi, Jake. Czasy się zmieniły. Ja się zmieniłam.

Włożył ręce do kieszeni.

- Ja też się zmieniłem.

Donna zaśmiała się krótko i omiotła go spojrzeniem od stóp do głów.

- Nie, ty się nie zmieniłeś - powiedziała. - Wciąż jesteś niebezpiecznym mężczyzną.

- Co?

- Proszę cię... Popatrz na siebie, Jake. Długie włosy, niechlujny zarost, zniszczone buty i sprane dżinsy. Nie mówiąc już o motorze, który z pewnością stoi zaparkowany przed sklepem. Jesteś modelowym niebezpiecznym facetem.

- Tak? - Uśmiechnął się nieco szerzej, a w jego oczach zabłyśło zadowolenie.

- To nie był komplement. - Oczywiście, że był. Choć jako nastolatka uwielbiała Maca, Jake zbyt często pojawiał się w jej snach. Nawet wtedy działał na nią tak jak nikt inny przez całe jej życie.

I najwyraźniej nie zmieniło się to mimo upływu lat.

- Czyli niepokoję cię? - drażył.

- Na poziomie instynktów - przyznała - tak.

- Dobrze wiedzieć.

- Miło ci to słyszeć?

- Który mężczyzna by się nie ucieszył?

- Mac. - Na dźwięk tego imienia w jednej chwili dobry nastrój znikł z jego oczu i pojawiło się między nimi napięcie.

- Dobra. - Kiwnął szorstko głową. - Chcesz mówić o Macu? Porozmawiajmy. Po śmierci Maca... - przełknął z trudem ślinę, jakby już same te słowa miały gorzki smak - ...kiedy odkryłaś, że jesteś w ciąży, dlaczego nie powiedziałaś tego przynajmniej mnie?

- Nie mogłam.

- Byliśmy przyjaciółmi. - Zrobił krótką przerwę. - Więcej niż przyjaciółmi.

Ogarnęła ją fala ciepła rozlewająca się od stóp aż po czubek głowy. Wspomnienia stały się nagle tak intensywne, że oddychała z trudem. Pamiętała to wszystko tak samo wyraźnie jak Jake.

- Właśnie dlatego nie mogłam ci powiedzieć.

- Do cholery, Donno - powiedział, wyciągając ku niej rękę. Chwytał ją za ramiona i przyciągnął do siebie tak szybko, że upuściła pudełka, które rozsypały się u ich stóp. - Nie powinnaś była mnie tak odsuwać.

Wyrwała się z jego uścisku, podniosła pudełka z filmami i przycisnęła do piersi.

- Nie byłam ci nic winna, Jake. Żadnemu z was. Eric nie był twoim synem, był synem Maca. Byłam coś winna jedynie Macowi, ale on umarł.

Łzy przestłoniły jej widok, co ją rozwścieczyło. Nie chciała przy nim płakać. Nie chciała już w ogóle płakać. Tamtego lata wylała tak dużo łez, że powinno starczyć na resztę życia.

- Mogłem ci pomóc.
- Miałeś siedemnaście lat.
- Ja...
- Jake, bądź realistą - powiedziała. Była już zmęczona. - Już zaciągnąłeś się do piechoty morskiej. Jechałeś na obóz dla rekrutów. Ja musiałam myśleć o dziecku, wszystko zaplanować.

Wypuścił niecierpliwie powietrze i widziała, że nie chce zapomnieć. Wciąż był uwikłany w decyzje podjęte tamtego odległego lata. Ale czy ona też nie była? Urodziła dziecko, które przypominało jej o tym każdego dnia.

- Jake, musisz zapomnieć. Po prostu wróć do swojego życia i...

- I co? Zapomnieć o Ericu, teraz, kiedy o nim wiem? Nic z tego.

- No dobrze - westchnęła. - Ale jeżeli ty i inni chcecie poznać Erica, niech to będzie na moich zasadach. On jest moim synem i muszę robić to, co uważam dla niego za najlepsze.

- Zgoda - powiedział szybko.
- Zacytuję go: „To było łatwe”.
- Nie mam żadnych planów - uspokoił ją. - Chciałem po prostu, żeby to było łatwe dla nas wszystkich.
- I tak od razu zamieniasz się w pana Rozsądnego?
- Może on będzie cię mniej niepokoił niż pan Niebezpieczny?

Donna uśmiechnęła się niechętnie. Jake zawsze potrafił postawić na swoim.

- Nie sądzę. Z panem Niebezpiecznym przynajmniej wiem, na czym stoję,

- A na czym? - zapytał, przysuwając się bliżej i opuszczając głowę, aby popatrzeć jej w oczy.

- Na krawędzi bardzo stromego klifu - odpowiedziała, wytrzymując jego spojrzenie.

- Czy to dlatego uciekłaś tamtej nocy?

Nie musiała pytać, o którą noc mu chodzi. Przez lata prześladowało ją właśnie to wspomnienie. Często zastanawiała się, co by się stało, co mogłoby być inaczej, gdyby nie uciekła od Jake'a w ślepej panice.

Przesunął dłonią po jej ramieniu, a Donnę przeszedł dreszcz. Bała się, że nie będzie w stanie wziąć kolejnego oddechu.

- Naprawdę cię wystraszyłem? - zapytał miękko. - Donno, przecież nigdy bym cię nie skrzywdził.

- Wiem, Jake. Wtedy też o tym wiedziałam.

- A więc dlaczego? - nie ustępował. - Jeżeli się mnie nie bałaś... dlaczego uciekłaś tamtej nocy?

- Nie bałam się ciebie, Jake - przyznała Donna, patrząc mu w oczy, zatapiając się w ciemnej głębi przepełnionej emocjami, których nie powinni byli budzić.

- Uciekłam, bo bałam się samej siebie. Uczuć, które we mnie rozbudziłeś.

Słońce wpadające przez szerokie okna wychodzące na ulicę niemal ją oślepiło. Oczy zaczęły jej łzawić i nie była pewna dlaczego. Czy to wspomnienia? Dotknięcie Jake'a? Czy po prostu ostre światło?

- A więc to, co czuliśmy podczas pocałunku... - wy-

szeptał. - Ta namiętność, pożądanie... Uciekłaś od tego wszystkiego... Zostawiłaś mnie samego i poszłaś prosto do Maca.

- Tak - przyznała sucho.

- Czy poszłaś z nim wtedy do łóżka? - To pytanie zabrzmiało jak warknięcie, ale Donna usłyszała kryjące się pod złością zranienie.

- Tak. - Wytrzymała jego spojrzenie. Podniosła głowę i wyznała to, czego nigdy nikomu nie powiedziała:
- Z tobą odkryłam namiętność, ale pobiegłam do Maca. I tamtej nocy spółdziliśmy Erica.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W jednej chwili Jake przeniósł się w tamtą upalną letnią noc piętnaście lat temu:

Przepełniał go jej zapach, otaczało jej ciepło, a jego siedemnastoletnie serce dziko waliło. W jej oczach tańczyło światło księżyca. Pamiętał, jak przygryzła zębami dolną wargę.

Kuzyni Jake'a kapali się w jeziorze. On i Donna stali sami z boku drogi, przy samochodzie jej ojca. Jake wyszedł z domu później niż pozostali, bo chciał być przez chwilę sam. Kiedy dostrzegł przy drodze zepsuty samochód, natychmiast rozpoznał, do kogo należy.

Powtarzał sobie, że Donna jest dziewczyną Maca, ale to nie pomagało. Myślał tylko o tym, jak bardzo jej pragnie. Jak bardzo mu na niej zależy.

Zwalczył w sobie chęć wyciągnięcia ramion i przytulenia jej. Podeszedł do samochodu i otworzył klapę silnika. Donna stanęła obok niego, a zapach jej perfum otulił go niczym ciężki płaszcz.

- Potrafisz to zreperować? - spytała miękko.

- Tak - wymruczał, od razu dostrzegłszy problem. - Poluzował się przewód rozdzielacza.

Nie chciał tego naprawiać. Nie chciał pomóc jej tylko po to, żeby wsiadła do samochodu i odjechała na spotkanie z Makiem. Chciał, żeby została tutaj. Z nim. Jake zacisnął zęby, pochylił się, chwycił za przewód i poprawił złącze. Pogmerał jeszcze wokół, sprawdzając połączenia innych przewodów, byle tylko utrzymać ją przy sobie przez kilka cennych dodatkowych sekund.

Donna przysunęła się bliżej, żeby spojrzeć, co robi, ale potknęła się i wpadła na niego. Jake przytomnie złapał ją i podtrzymał, jednak zamiast puścić, otoczył ramionami, przyciągając do siebie.

- Jake... - Dziewczyna przełknęła ślinę i spojrzała na niego. - Powinam już...

- ...iść - skończył za nią. - Tak, wiem.

Jake znał Donnę od lat. Zawsze się przyjaźnili. Jednak tego lata coś się zmieniło. Chociaż była dziewczyną Maca, Jake czuł, że mu się przygląda, kiedy jej się wydaje, że on nie patrzy. Widział w jej oczach to samo zainteresowanie, które błyszczało w jego własnych.

Coś między nimi było. Coś, co chciał zgłębić i określić. Czy czuła do niego to, co on do niej?

Czy to możliwe, żeby nie kochała Maca? Czy mogła za to kochać jego?

Położyła mu dłonie na piersi i wiedział, że czuje, jak gwałtownie bije jego serce. Jej dotyk przepalał go aż do kości. Ciepło przepłynęło po jego ciele, a siła pożądania niemal go dławiała.

- Donno - wyszeptał, pochylając się ku niej. - Nie odchodź. Zostań. Ze mną.

Powoli potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Wiesz, że nie mogę.

Dookoła nich noc zamarła. Powietrze stało nieruchomo. Żaden pies nie zaszczekał w oddali. Żaden samochód nie przejechał ciemną drogą. Gwiazdy i księżyc świeciły z atramentowoczarnego nieba i zdawało się, że otulają ich milczeniem pełnym tęsknoty.

- Dlaczego nie? - zapytał, chociaż znał odpowiedź.

- To nie byłoby w porządku - odrzekła, a jej spojrzenie przemknęło po jego twarzy niczym dotyk. - Jake, nie chcę iść.

- Więc zostań - uśmiechnął się.

Przesunęła dłońmi po jego piersi, opuszkami palców muskając skórę i pozostawiając ogień. Zaczepnęła gwałtownie powietrza, zacisnął mocniej ramiona wokół jej talii i przysunął swoją twarz jeszcze bliżej.

Patrzyła na niego, a on czekał, aż się odsunie, aż odwróci głowę w bok, aby uniknąć pocałunku. Nie zrobiła tego jednak. Wpatrywała się w niego swymi jasnoniebieskimi oczami, zagładając w głąb jego duszy.

Jej pełne usta były tak blisko. Skosztował ich. Szybko, krótko, tylko przesunął po nich wargami. Donna obliżała się i ostrożnie przybliżyła do niego.

Jake znów ją pocałował, tym razem wlewając w ten pocałunek wszystkie swoje uczucia, pragnienia i marzenia. Otworzyła się przed nim, a jego język wziął ją w posiadanie, tak jak pragnął przez całe lato.

Jęknęła, a ten cichy dźwięk podsycił płomień namięt-

ności, która zawrzała we krwi i zażądała więcej. Zażądała wszystkiego.

Przesuwał dłońmi po jej plecach i pośladkach, starając się poczuć ją całą. Przyłgnęła do niego mocniej. Jake zastanawiał się, czy ona wie, jak na niego działa. Czy chce tego samego? Czy pragnie go tak bardzo jak on jej?

Gorączkowo podniósł brzeg jej bluzeczki bez rękawów i wsunął dłonie pod miękką tkaninę. Jej skóra w dotyku była miłsza niż jedwab. Ciepła i gładka. Przesunął dłonie wyżej, gdzie poczuł nagie piersi.

Dziewczyna pogłębiła pocałunek, wtulając się w niego. Ich języki splotły się, a oddechy mieszały się w rozpaczliwym tańcu pożądania.

Ujął dojrzałe piersi w dłonie i ostrożnie przesunął kciukami po twardych sutkach. Wydała stłumiony jęk, po czym odrzuciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

Oddychała ciężko. Widział, że namiętność rozpala jej oczy za każdym ruchem kciuka.

- Donno - udało mu się wydobyć z siebie zduszony głos - chciałbym...

- Ja też, Jake, ja też.

Kiedy opuścił ręce ku krawędzi jej szortów, nie zrobiła nic, aby go zatrzymać. Głaskała go po ramionach w milczącym błaganiu, żeby się pospieszył.

Miał nieco trudności z rozpięciem jej dzinsowych spodenek. Przeklął pod nosem, a ona zaśmiała się lekko. Dla jego uszu była to najpiękniejsza muzyka. Wreszcie jednak udało mu się odpiąć wszystko i chwilę póź-

niej już wsuwał dłoń pod jej kwieciste majteczki, tam, gdzie pragnął.

Śmiech zamarł, a dziewczyna zachwiała się i wbiła paznokcie w jego nagą skórę. Ledwo to zauważył. Myślał tylko o tym, że wreszcie spełnia się jego marzenie.

Donna była jego.

Przy pierwszym dotknięciu zadrżała w jego ramionach i głośno wymówiła jego imię.

-Jake, Jake, co...?

On też nie wiedział. Razem z kuzynami wielokrotnie o tym rozmawiali. Ale choć lubili się przechwalać, żaden z nich nigdy nie posunął się dalej niż do odpięcia jakiegoś biustonosza.

Dziś było inaczej.

Dziś było szczególnie.

Przesunął dłoń głębiej i pieścił ją, rozkoszując się jej jedwabistością.

Donna oddychała szybko. Pocałował ją, a ona oddała pocałunek - przez długą, cudowną minutę.

Nagle zatrzymała się, odepchnęła jego dłoń i odeszła krok w tył. Zapięła szorty, poprawiła koszulkę i potrząsnęła głową.

- Nie mogę tego zrobić. Nie możemy tego zrobić.

- Donna. - Zrobił krok naprzód.

- Chcę tego, naprawdę bardzo - powiedziała, przełykając ślinę i kręcąc głową jeszcze bardziej stanowczo, jakby chciała przekonać samą siebie do tego, co mówi. - Jake, przy tobie czuję się... sama nie wiem... wyjątkowa. Ale nie możemy tego zrobić. Co z Makiem?

- Pragniesz mnie, a nie Maca - powiedział krótko.
- Nie mów tak, Jake. - Wyciągnęła dłoń, żeby go zatrzymać, i pospieszyła do samochodu. - Nic nie mów. Przykro mi. Nie powinnam była. Przepraszam.

Wskoczyła do środka, zapaliła silnik, obrzuciła Jake'a ostatnim, pełnym żalu spojrzeniem i odjechała. A on został sam, zastanawiając się, gdzie znikła cała magia.

Drgnął, wracając do teraźniejszości. To dziwne, ale ta jedna noc, tak dawno temu, była w jego umyśle tak wyraźna, tak żywa, że wciąż czuł i pożądanie, i gorycz odrzucenia.

Skoncentrował się na złości i spojrział w dół, w oczy, które były tak samo piękne jak tamtej nocy. Wyrażanie gniewu było o wiele łatwiejsze.

- Wykorzystałaś mnie - powiedział surowo.
- Co takiego?
- Narzucałaś mi się - rzucił jej oskarżenie, chociaż wiedział, że to nieprawda. - Nakręciłaś się, a potem uciekłaś do Maca.
- Czy ty naprawdę myślisz, że zrobiłam to umyślnie?
- Droczyłaś się ze mną.
- A ty byłeś dupkiem - ucięła. - Zupełnie tak jak teraz.
- To ty mnie pragnęłaś - powiedział, idąc długimi powolnymi krokami za cofającą się Donna.

Na końcu alejki rozejrzała się szybko dookoła, jakby zastanawiając się, czy po prostu nie uciec, a następnie podniosła ku niemu wzrok. W jej oczach wyczytał, że postanowiła stawić mu czoło. Podziwiał ją za to.

- Tak, pragnęłam cię - powiedziała, niecierpliwym gestem dłoni odsuwając włosy z oczu. - Byłam młoda i głupia, a kiedy mnie dotknąłeś...

- Rozpaliłem cię?

- Tak - przyznała z westchnieniem. Otoczyła się ściśle ramionami. Znowu przygryzła dolną wargę, a Jake z przykrością musiał stwierdzić, że to wciąż na niego działa. - Jake, miałam piętnaście lat. Nigdy wcześniej nie odczuwałam czegoś takiego. To mnie wystraszyło.

Kiwnął powoli głową. Ta cierpliwość wiele go kosztowała.

- Więc wzięłaś to, co zaczęło się między nami, i pozwoliłaś, żeby Mac dokończył.

- Byłam zdenerwowana. Wstrząśnięta. - Podniosła dłoń i potarła się między oczami. - Kiedy zostawiłam cię wtedy na drodze, pojechałam nad jezioro. Coopera i Sama już nie było. Mac widział, że coś mnie dręczy. Nie powiedziałam mu o nas - dodała szybko. - Ja tylko... no wiesz. Płakałam, a Mac był cudowny. Delikatny.

- Więc ty i on... - Nie chciał widzieć tego obrazu. Tyle razy myślał o tamtej nocy. O tym, co mogło się stać. Za każdym razem budził się roztrzęsiony, wspominając jej niewinność, podniecenie i zapierającą oddech namiętność.

- Nie chciałam, żeby tak się to potoczyło - powiedziała z westchnieniem. - Ale po prostu stało się.

- Bo Mac nie był taki jak ja.

Podniosła brodę.

- Nie możesz o tym zapomnieć?

- Staram się od piętnastu lat.

- Och, proszę cię - zdusiła śmiech. Przecisnęła się obok niego i wróciła za ladę do sterty płyt, które zostały do odłożenia na półki. - Chyba nie oczekujesz ode mnie, żebym uwierzyła, że przez te wszystkie lata chociaż raz o mnie pomyślałeś.

Dogonił ją kilkoma długimi susami. Złapał za ramiona i odwrócił, żeby na niego spojrzała.

- A czy ty możesz mi powiedzieć, że nigdy nie myślałaś o tym, co się między nami wydarzyło tamtej nocy? Możesz popatrzeć mi w oczy i powiedzieć, że cię to nie dręczy? Że nie żałujesz tego, co się stało?

Donna wstrzymała oddech. Wystarczyło jedno dotknięcie ręki Jake'a, żeby jej skóra zapłonęła.

- Czy naprawdę chcesz to usłyszeć? - odparowała, nie odpowiadając na jego pytanie. - Czy ty naprawdę wierzysz, że to było takie niezapomniane? Jake, byliśmy dziećmi.

- Jasne. Przestaliśmy nimi być w momencie, kiedy się pocałowaliśmy.

Jake zacisnął mocniej palce na jej ramieniu i pochylił się ku niej. Donna wiedziała, że musi coś zrobić. Cokolwiek. Nie może zaangażować się w związek z Jakiem. Nie teraz, kiedy musi myśleć o Ericu.

Najważniejsze było jednak to, że przez Jake'a wciąż bała się swoich uczuć.

- Donno, nie wyjaśniliśmy sobie jeszcze wszystkiego.

Jego niski głęboki głos rozbudził w niej emocje. Zmiękły jej kolana.

- Jake...

- Pachniesz tak samo - wyszeptał, zatapiając głowę w jej szyi.

Wstrzymała oddech, po czym powoli wypuściła powietrze, kiedy musnął ustami zagłębienie w jej szyi. W głowie rozległ jej się głos ostrzegawczy, że znajdują się w wypożyczalni i że olbrzymie okno wychodzi na główną ulicę miasteczka. I że w każdej chwili ktoś może tu wejść.

Walenie jej serca zagłuszyło jednak ten głos rozsądku.

- Czy musiałeś tu wrócić? Dlaczego? - zapytała bez tchu.

- Dlatego - odpowiedział i położył usta na jej wargach. Pożądanie.

Poczuła surową, niepowstrzymaną żądzę.

Każda komórka jej ciała podskakiwała i krzyczała z bezrozumnej radości.

Otworzył jej usta językiem, a ona poddała się temu intymnemu dotykowi. Przysunęła się ku niemu, zaplotła ramiona wokół jego szyi i przyłgnęła mocniej. Jego usta, bardziej doświadczone niż tamtej odległej nocy, doprowadziły ją do szczytu pożądania.

Wszystko się rozpląnęło, świat, praca, odpowiedzialność. W jednej chwili znów stała się nastolatką. Młoda, niewinna i płonąca ogniem, którego nie znała.

Jake położył jedną dłoń na jej pośladkach i pieścił je mocnymi i pewnymi palcami. Potem przesunął ją do przodu. Dotykając przez džinsy, doprowadził ją niemal na szczyt... i zatrzymał się.

Donna zachwiała się i oparła o ladę. Ciemne oczy Jake'a połyskiwały od niezaspokojonej żądz, chyba nawet większej niż jej własna.

-Jake, co ty...

- Nie tutaj - powiedział, rzucając spojrzenie na okno i pusty chodnik za szybą. - Nie teraz.

Donna miała ściśnięte gardło, serce jej waliło i z trudem odzyskiwała oddech i godność.

- Pragnę cię - oświadczył Jake, wsuwając obie dłonie do kieszeni. - I tym razem mam zamiar cię zdobyć.

Spojrzała na niego i wybuchnęła krótkim śmiechem.

- Miałam rację. Nic się nie zmieniłeś. Dalej jesteś panem Niebezpiecznym.

- Może i jestem - przyznał miękko. - Ale ty już nie jesteś piętnastoletnią dziewczicą, prawda?

- Nie, nie jestem - odpowiedziała, odzyskując samokontrolę. - Jestem dorosła. Jestem matką. I mam w głowie coś jeszcze poza zaspokajaniem własnych pragnień.

- Bzdura.

- Słucham? - Spróbowała prychnąć lekceważąco, ale kiepsko jej to wyszło.

Wyciągnął jedną dłoń z kieszeni i podniósł jej brodę, tak żeby ich oczy się spotkały.

- Minutę temu gotowa byłaś zrobić to ze mną tutaj na podłodze.

Donna oblała się rumieńcem, bo przecież miał rację. Jej mózg zamilkł, a ciało przejęło panowanie. To właśnie dlatego Jake tak bardzo ją przestraszył piętnaście lat temu. W jego obecności nie potrafiła myśleć o niczym innym.

- I wkrótce - obiecał, schylając się i całując ją pośpiesznie - to się stanie.

Przeszedł obok niej, kierując się w stronę wyjścia. Donna słuchała jego ciężkich kroków i odwróciła się, kiedy doszedł do drzwi.

- Jake?

Spojrzał na nią, podnosząc jedną brew w niemym pytaniu.

- Cokolwiek jest między nami, to nie daje ci żadnego prawa do Erica - ostrzegła.

Zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

- Nie rozumiesz, Donno. My nie potrzebujemy prawa do Erica. On jest Lonerganem. Jest jednym z nas. Rodziną.

- Nazywa się Eric Barrett.

- Nie jest przez to mniej Lonerganem. Należy do rodziny. - Jake podniósł rękę do czoła w geście pożegnania. - Do zobaczenia, Donno.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Godzinę później Donna zamknęła wypożyczalnię. Wcześniej niż zwykle. Jeżeli ktoś z Coleville będzie chciał pożyczyć film na wieczór, po prostu pojedzie sobie trzydzieści mil dalej, do San Jose. Nie chciała dłużej tam siedzieć otoczona świeżymi wspomnieniami obejmującego ją i całującego Jake'a.

Mrucząc posępnie, rzuciła torebkę na przednie siedzenie swojego niewielkiego samochodu, przekręciła kluczyk i włączyła silnik. Wrzuciła wsteczny, szybko wycofała i pojechała do oddalonego o milę domu, w którym dorastała.

Dziwnie było znów się tam znaleźć. Miło, ale dziwnie. Nie było jej tu tak długo i tak bardzo się zmieniła, że przebywanie w rodzinnym miasteczku wydawało jej się niemal... snem.

Coleville wyglądało, jakby cały czas trwało w bezruchu. Ludzie, których pamiętała, byli teraz starsi, ale sklepy i ciche uliczki wciąż były takie same. Mocniej ścisnęła kierownicę i omiotła spojrzeniem wystawy sklepów.

Wysadzone drzewami ulice miasteczka były praktycznie puste. Nic dziwnego. Wszyscy woleli przebywać wewnątrz klimatyzowanych domów. Lato dobiegało wreszcie końca, ale nie poddawało się bez walki. Fale gorąca tańczyły przed nią na szosie, drząc w skwarzym blasku słońca - tak wyobrażała sobie miraż na pustyni.

Jednak ciepło rozgrzewające Donnę nie miało nic wspólnego z latem. Winny był Jake. Zatrzymała się na czerwonym świetle i bezmyślnie stukała palcami w kierownicę.

- No dobrze, to nie całkiem jego wina - wymruczała i zamknęła oczy, czując nową falę gorąca przebiegającą jej przez całe ciało. - Co on ma w sobie takiego, że potrafi zamienić człowieka w chodzący hormon? - zapytała samą siebie, otwierając oczy i przyglądając się sobie w lusterku.

Znała jednak odpowiedź na to pytanie. Już jako nastolatek Jake Lonergan był chodzącym wcieleniem „niegrzecznego chłopca”. Jego włosy zawsze były trochę za długie, dzinsy lekko przybrudzone, koszulki nieco za ciasne, a oczy...

Och, Boże, jego oczy.

Opuściła brodę na piersi. Miała problem. Nie mogła sobie pozwolić na poddanie się własnemu pożądaniu. Własnym żądzom i potrzebom. Miała czternastoletniego syna, o którym musiała myśleć i którego trzeba było chronić.

Kiedy światło zmieniło się na zielone, skręciła w lewo w Lemon Street. Stare drzewa pochylały się ku sobie nad

jezdnią, tworząc chłodny łuk. Na nawierzchni widoczny był koronkowy wzór utworzony przez przeświecające przez liście słońce.

Wjechała na podjazd i kiwnęła głową do sąsiada strzygącego swój wypieszczony trawnik. Kiedy wysiadła, dotarł do niej nie tylko odgłos silnika, ale również szczekanie psa i śmiechy dzieci biegnących przez ulicę.

Dobrze, wszystko jest normalnie, powiedziała do siebie, kierując się w stronę domu. Ta krótka chwila z Jakiem była czymś zupełnie innym niż normalnością. Ale teraz rzeczy wróciły na swoje miejsce, a ona odzyskała kontrolę.

Wytrzyma jakoś przez resztę lata, a jesienią Jake odjedzie. Miała nadzieję, że potem już nigdy nie będzie musiała mieć z nim do czynienia. W momencie jednak, kiedy o tym pomyślała, zdała sobie sprawę, że nigdy nie uwolni się od niego całkowicie, ponieważ teraz, kiedy wiedział o synu Maca, będzie oczekiwał - a znając Jake'a, nawet będzie się domagał - by być częścią życia chłopca.

- No dobrze - powiedziała, otwierając drzwi i wchodząc do rozkosznie chłodnego salonu matki. - Ale to jeszcze nie znaczy, że musi być częścią mojego życia.

- To ty, kochanie? - Usłyszała głos matki.

Uśmiechnęła się. Bez względu na to, jakie kłopoty może mieć z Jakiem, dobrze zrobiła, wracając do domu. Przez te wszystkie lata tęskniła za matką. Jej powrót do Coleville był ważny. Dla nich obu.

- Tak, to ja, mammo.

- To dobrze. - Catherine wpadła do pokoju, układając sobie włosy. - Chciałam z tobą porozmawiać przed wyjazdem.

- Wyjazdem? - Donna cisnęła torebkę na kanapę w biało-granatowe paski. - A gdzie się wybierasz?

Catherine odwróciła się do lustra, przejechała palcami po brwiach i uśmiechnęła się do córki.

- Wyjeżdżam z Michael'em na weekend.

Cóż, pomyślała Donna, dobrze być z powrotem w domu. Dla mnie i dla mamy ważne jest wspólne spędzanie czasu.

- Na weekend? - spytała na głos. - Razem?

Mama zmarszczyła się lekko.

- Donno, jestem dużą dziewczynką. Wiem, co robię.

- Dobrze, już dobrze - mruknęła Donna, osuwając się na kanapę. - Tylko myślałam, że dziś wieczorem pojedziemy gdzieś we trójkę na kolację.

- To miło z twojej strony - matka przeszła przez pokój i stanęła przed nią - ale Michael i ja zrobiliśmy tę rezerwację w Bed & Breakfast jeszcze zanim wróciłaś do domu i nie mogę mu tego zrobić, żeby się teraz wycofać.

- Oczywiście, że nie, ale... - Ale co? Potrzebowała mamusi? Czy to nie brzmiało żałośnie?

- Widziałaś dzisiaj Jake'a.

- Skąd o tym wiesz? - Spojrzała zdumiona na matkę.

- Eric mi powiedział.

- Eric? - Myśli Donny galopowały. Jej syn widział co prawda Jake'a, ale nie przedstawiła ich sobie. Oczywiście Eric był mądrym dzieckiem. Wiedział, że rodzina jego

ojca mieszka w Coleville, no i nie mógł nie zauważyć podobieństwa między sobą a Jakiem.

Westchnęła. Chciała powiedzieć Ericowi o Loner-ganach. Czekwała jednak na odpowiedni moment. Na idealną chwilę. Która chyba jednak nie miała nigdy nadejść.

- A skąd on wiedział, że to Jake? Nie przedstawiłam ich sobie.

- Nie wiedział, jak się nazywa, ale opisał mi go i powiedział, że bardzo przypomina stare zdjęcie Maca. - Catherine uważnie sprawdzała stan swoich paznokci. - A kiedy doszedł do włosów związanych w kucyk i tatuażu piechoty morskiej na ramieniu, już wiedziałam, kim był tajemniczy mężczyzna.

- Powiedziałaś mu, że to Jake?

- Oczywiście.

- Co jeszcze mówił ci o tym spotkaniu? - spytała z jękiem.

- Oprócz tego, że widział, jak się z nim całujesz?

- Och, Boże! - Donna ukryła twarz w dłoniach, wspominając dziki pocałunek. W owej chwili nawet przez moment nie pomyślała o oknach. Takie właśnie rzeczy się zdarzają, kiedy przestajesz myśleć. - Jestem idiotką.

- Nie jesteś. - Catherine zachichotała. - A Eric nie doznał trwałego urazu psychicznego.

- Muszę z nim porozmawiać. - Donna podniosła wzrok na matkę.

- Nie ma go.

- Nie ma? A gdzie jest? Jeszcze z Jasonem?

- Nie - odparła Catherine, przysiadając na oparciu kanapy i biorąc córkę za rękę. Poklepała ją pocieszająco.
- Wrócił do domu jakiś czas temu, a potem wziął rower i gdzieś pojechał.

Troska w oczach matki zmartwiła Donnę. Zrobiło jej się słabo. Zmusiła się do postawienia pytania:

- A dokąd pojechał?

- Na ranczo Lonerganów.

- Co? - Skoczyła na równe nogi, wyrwała dłoń z pocieszającego uścisku matki i zaczęła chodzić po pokoju. Zrobiła kilka pospiesznych kroków i odwróciła się.

- Dlaczego?

Catherine spojrzała na nią z powagą, unosząc jedną z wypielegnowanych brwi.

- A jak myślisz? Chciał porozmawiać z Jakiem.

- Super. - Donna chwyciła torebkę i skierowała się ku drzwiom. - Świetnie. Po prostu świetnie.

- Donno, nie przesadzaj.

- Wcale nie przesadzam - odparła. - Eric nigdy nie widział, żebym się z kimś całowała. Prawdopodobnie jest wściekły. I zawstydzony - przerwała, żeby złapać oddech. - Poza tym nie chcę, żeby zadawał się z Jakiem. Nic dobrego nie może z tego wyniknąć.

- A, to ciekawe.

- Co?

- Och - Catherine wygładziła szarą spódnicę na kolanach - bo jakoś jeśli chodzi o ciebie, to nie widzisz problemu w zadawaniu się z nim. Śmieszne, że tak ci zależy, żeby trzymać Erica z dala od niego.

Wpadające przez szerokie okno światło słoneczne malowało w przytulnym salonie złote smugi. Świeże kwiaty wypełniały wysoki prostokątny wazon na małym stoliku, a w powietrzu unosił się zapach cytrynowego płynu do czyszczenia.

Donna chłoneła ten znajomy i ciepły widok, żeby się uspokoić. Jak mogła wyjaśnić swoje uczucia do Jake'a matce, skoro nie potrafiła ich wytłumaczyć sobie samej?

- Chłopiec ma prawo znać całą swoją rodzinę - powiedziała miękko matka.

- Wiem - odparła Donna. - Chcę, żeby poznał i pokochał Jeremiaha. Żeby dowiedział się więcej o swoim ojcu. Tylko jakoś nie do końca ufam Jake'owi - wyrzuciła w końcu z siebie.

- Hmm - Catherine wstała i podeszła do niej. - Jesteś pewna, że nie chodzi raczej o to, że nie ufasz sobie w jego obecności?

- Mamo! - Donna zamrugowała gwałtownie.

- Kochanie, nawet kiedy byliście dziećmi, coś między wami było. Każdy, kto nie był ślepy, mógł to dostrzec na jego twarzy, gdy na ciebie patrzył.

- O mój...

- Kiedy oznajmiłaś nam, że jesteś w ciąży, byłam niemal pewna, że to Jake jest ojcem.

- Ależ mamo! - Donna ukryła swoje zdumienie za spojrzeniem pełnym oburzenia. - Przecież to Mac był moim chłopakiem.

- Och, wiem. Ale między tobą a Jakiem była jakaś szczególna więź. Z Makiem nie łączyło cię nic podobnego.

Donna nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Zbyt wyraźnie pamiętała zaszokowane i niezadowolone twarze rodziców, kiedy dowiedzieli się o jej ciąży. Jednak nigdy się nie domyśliła, że jej matka była zaskoczona, dowiadując się, kim jest ojciec dziecka.

A przecież gdyby tamtej nocy nie uciekła od Jake'a i od wszystkiego, co do niego czuła, to właśnie on byłby ojcem Erica. Ale jednak uciekła. Uciekła dlatego, że Jake nie był typem chłopaka na stałe. Do diabła, wciąż nim nie był.

- Nie mogę uwierzyć, że mi to mówisz. - Donna powiesiła torebkę na ramieniu. - Więż? Z Jakiem? Miałam tylko piętnaście lat.

- Ale teraz masz już więcej - powiedziała miękko Catherine. - Myślę, że nawet wtedy, kiedy byłaś zaledwie nastolatką, wiedziałas, czego chcesz. Po prostu bałaś się do tego przyznać.

- Mylisz się, mamó - odrzekła cicho Donna. - Nie bałam się przyznać, że pragnęłam Jake'a. Ja po prostu wiedziałam, już wtedy, że nie powinnam go pragnąć.

- Ludzie się zmieniają.

- Nie, to nieprawda. - Donna uśmiechnęła się ze smutkiem, a następnie uściśnęła matkę. - Baw się dobrze. - I pobiegła do samochodu.

Z małego radyjka stojącego na warsztacie w stodole Lonerganów rozbrzmiewał rock. Jake lubił słuchać podczas pracy muzyki. Zazwyczaj, kiedy pracował, nawet wybuch bomby pod nogami nie zakłóciłby mu koncentracji.

Ale dzisiaj wszystko było inaczej.

Nie było łatwo skupić się na gaźniku ciężarówki, kiedy jego usta wciąż płonęły, a serce biło mocniej. Pod opuszkami palców nadal czuł gładką, jedwabistą skórę Donny.

Cisnął klucz francuski na zastawiony stół i bezmyślnie patrzył na znajdującą się przed nim tablicę korkową. Chyba nie powinien był się spotykać z Donna. Rozbudziło to w nim emocje i odczucia, które tłumił przez lata, a teraz nie wiedział, czy może je dalej ignorować.

Ani czy chce je ignorować.

- Hej!

Jake odwrócił się i spojrzał w twarz chłopca, który tak bardzo przypominał Maca, że przez moment pomyślał, że to właśnie jego ma przed sobą. Czyżby wrócił z zaświatów, żeby mu wyrzucić, że całował jego dziewczynę?

Otrząsnął się jednak z takich myśli i skoncentrował na nieoczekiwanym gościu.

Dzieciak rozejrzał się po stodole i wolno wszedł do środka, prowadząc swój rower. W końcu podniósł ciemne oczy na Jake'a i patrzył na niego przez dłuższą chwilę.

- Widziałem, jak całował pan mamę.

O cholera!

Jake podrapał się po karku. Eric miał dopiero czternaście lat, ale przyszedł tu jako mężczyzna, a nie jako mały chłopiec. Jake musiał więc tak go potraktować.

- Znamy się z twoją mamą od dawna.

- Wiem. - Chłopiec oparł rower o stół i wsunął obie

ręce do tylnych kieszeni luźnych dżinsowych szortów. -

- Jest pan kuzynem mojego ojca.

- I twoim też - powiedział Jake.

- Być może. - Eric wzruszył ramionami i spojrzał na niego ostro. - No więc, dlaczego pan ją pocałował?

Ponieważ pragnął jej bardziej niż czegokolwiek w życiu? Ponieważ samo przebywanie z nią w jednym pomieszczeniu sprawiało, że był tak napalony jak nastolatek na tylnym siedzeniu samochodu ojca?

- To sprawa między twoją mamą a mną.

- Nie podoba mi się to - nachmurzył się dzieciak.

- Przykro mi - powiedział Jake. - Ale może jak mnie lepiej poznasz, nie będziesz temu taki przeciwny.

Chłopiec rozważał to przez parę sekund.

- Może. Ale moja mama nie chce, żebym tu przychodził i widywał się z panem i z innymi.

- Ale i tak przyszedłeś.

- Żeby panu powiedzieć, że wszystko widziałem.

- Przykro mi, że nas widziałeś. Ale nie jest mi przykro, że ją pocałowałem.

- Zamierza pan to powtórzyć?

- Jeżeli mi pozwoli.

- Nie pozwoli.

- Zobaczymy. - Jake skrzyżował ramiona na piersi, rozstawił szeroko nogi i patrzył na chłopca. Poczuł w sercu znajome ukłucie żalu i winy. Przez tyle lat dręczył się z powodu śmierci Maca. Teraz było mu jeszcze ciężiej. Macowi nie tylko nie było dane żyć, ale nie poznał też swojego syna.

- Czy jest tu mój dziadek? - zapytał Eric, starając się przekrzyczeć radio.

- Jest w domu. Razem z innymi kuzynami twojego taty.

- Tak? - Chłopiec spojrział przez ramię na dom. - Czy mogę ich poznać?

Jake chciał powiedzieć po prostu: „No pewnie”, jednak ku swojemu zdziwieniu zrobił inaczej.

- Mówiłeś, że twoja matka nie chce, żebyś tu przychodził. Domyślam się, że nie wie, że tu teraz jesteś.

- Niezupełnie.

- Jasne. - Jake skinął głową, tłumiąc uśmiech. - Chodź. Zaprowadzę cię do środka i poznasz wszystkich. Potem zadzwonisz do mamy i powiesz jej, gdzie jesteś.

- Okej - zgodził się Eric. - Ale wciąż nie podoba mi się, że całował pan mamę.

- Rozumiem.

Jake szedł koło chłopca, walcząc z chęcią położenia ręki na jego wąskich barkach i przytulenia go. W tej chwili nie zostałoby to dobrze przyjęte. Dzieciak był za bardzo zagubiony i zbyt na niego wkurzony.

Teraz, kiedy wreszcie nawiązali nić porozumienia, Jake zamierzał znaleźć sposób, żeby przekonać Donnę, by pozwoliła im ją wzmocnić.

Nie straci tej więzi z Makiem.

Donna wjechała na teren rancza Lonerganów i podjechała pod tylne wejście. Miała nadzieję, że tylko zabierze Erica i szybko ucieknie. Może, jeżeli będzie miała szczęście, Jake'a w ogóle tam nie będzie.

Kiedy minęła róg domu i zaparkowała samochód, westchnęła ciężko. Nie tylko Lonerganowie byli w pełnym składzie, ale zdaje się, że urządzili małe przyjęcie na cześć Erica.

Jeremiah już ku niej szedł, a szeroki uśmiech rozjaśniał jego pomarszczoną twarz. Teraz na pewno nie uda jej się szybko wymknąć.

Mimo wszystko uśmiechnęła się. Kochała dziadka Maca tak samo jak Mac go kochał. I brakowało jej go przez te wszystkie lata. Zamknęła drzwi samochodu i wpadła w potężny uścisk staruszka.

- Donno, tak się cieszę, że jesteś! Eric jest chyba trochę przytłoczony tym tłumem nowych krewnych. Potrzebuje wsparcia matki. - Odsunął ją na odległość ramion i patrzył z radością. - Czy dasz się namówić na burgera z grilla?

Donna zerknęła nad jego ramieniem na stół piknikowy stojący w rogu podwórza, w cieniu starego drzewa. Cooper, Sam, Jake i Eric kręcili się wokół grilla, a w powietrzu unosił się dym. Narzeczona Sama, Maggie, niosła z domu stertę talerzy, a druga kobieta stała na straży z packą na muchy.

Zakłuło ją w sercu, kiedy pomyślała, że Mac też powinien brać udział w tym rodzinnym zgromadzeniu. Zamiast niego był jednak jego syn. Odkrył kuzynów, których wcześniej nie widział, i cieszył się dziadkiem, którego znał zaledwie od paru miesięcy.

Eric, otoczony przez trójkę tak do niego podobnych mężczyzn, wyglądał na szczęśliwego. Jego tęskne spoj-

rzenie przeskakiwało z jednego kuzyna na drugiego, kiedy opowiadali mu przeróżne historie o ojcu, którego nigdy nawet nie widział. Jak mogła go stąd zabrać? Jak mogła zabronić mu, żeby poznawał ojca w jedyny możliwy sposób?

- Donno? - spytał cicho Jeremiaś. - Zostaniesz?

Podniosła wzrok na stojącego przed nią uroczego starszuka i uśmiechnęła się.

- Zostanę. Na razie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Weź rower i włóż do bagażnika. - Donna wręczyła synowi kluczyki.

Eric spuścił głowę i spojrział na nią spod fali ciemnych włosów.

- Zła jesteś, bo nie powiedziałem ci, że tutaj przychodzę?

- Masz na myśli, że nie zapytałeś mnie o pozwolenie?
- poprawiła. - Nie, nie jestem zła. Porozmawiamy o tym później.

Podniósł głowę i uśmiechnął się do niej,

- Dobra. - Spojrział poza nią i zawołał: - Na razie, Jake.

Donna skuliła się nieco, słysząc za sobą kroki.

- Na razie, mały.

Eric odszedł, a ona została sama z Jakiem. Czuła jego obecność tak wyraźnie, jakby jej dotykał. A gdyby to faktycznie zrobił, chyba by wybuchła. Każdy nerw jej ciała był już napięty do granic możliwości. Nawet najlepsze muśnięcie doprowadziłoby do eksplozji.

Zamknęła na chwilę oczy i spróbowała się skoncentrować. Nie pomogło. Przez ostatnie dwie godziny była

otoczona przez Lonerganów. Eric wyglądał na niezwykle szczęśliwego, ale Donna była spięta.

Narzeczone Sama i Coopera były bardzo miłe i łatwo się z nimi rozmawiało, ale o wiele bardziej interesowało ją to, co mówili mężczyźni. Młodzi Lonerganowie i Jeremiaś opowiadali jedną historyjkę o Macu za drugą - a wszystko to dla Erica, który brał to za dobrą monetę. W tym krótkim czasie dowiedział się o ojcu więcej niż w ciągu minionych czternastu lat. Donna oczywiście opowiedziała mu o Macu, ile mogła, ale dzięki anegdotom z taką miłością i uczuciem przytaczanym przez jego rodzinę ten ojciec, którego Eric nie miał okazji poznać, stał się rzeczywisty jak nigdy dotąd.

Dla Donny jednak przywołane wspomnienia były trudne do zniesienia.

W oczach Jake'a dostrzegła cień, który mówił jej, że i dla niego przeszłość była większym problemem niż dla jego kuzynów. Ich spojrzenia, pełne bólu i żalu, nieraz spotykały się nad stołem.

Teraz Jake stał tuż obok niej, a Donna zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

- Cieszę się, że zostałam - przerwał milczenie.

Oderwała wzrok od syna siłującego się z rowerem i spojrzała na Jake'a.

- Zostałam tylko dla Erica.

- Wiem.

- To się już nie powtórzy.

- Nigdy nie mów nigdy.

Donna wypuściła gwałtownie powietrze.

- Jake, to popołudnie niczego nie zmienia. Wciąż nie chcę, żeby Eric się z tobą zadawał.

- Dlaczego nie? - Ściągnął brwi i skrzyżował muskułarne ramiona na szerokiej piersi. Oczekiwał wyjaśnień.

Wiedziała, że jej wytłumaczenie mu się nie spodoba.

- Ponieważ - zaczęła - Eric jest młody i podatny na wpływy. - Zerknęła w kierunku syna, żeby się upewnić, że jest poza zasięgiem głosu. - Widziałam, jak na ciebie patrzył. Wytrzeszczał oczy z zainteresowaniem za każdym razem, kiedy otwierałeś usta. Już jest na dobrej drodze, żeby się w ciebie zapatrzeć, a nie chcę, żeby do tego doszło. Jesteś zbyt...

- Niech zgadnę - warknął. - Niebezpieczny?

- No cóż, tak. - Również skrzyżowała ramiona tuż pod biustem. Natychmiast zdała sobie sprawę, że w ten sposób za bardzo podniosła piersi do góry pod wycięciem bluzki i Jake mógł podziwiać zbyt wiele. Opuściła więc ręce wzdłuż ciała i zniżyła głos: - Eric nie powinien cię naśladować, Jake. Musi sam odnaleźć siebie. Musi iść do szkoły, zdobyć zawód.

- A ja nie zdobyłem? - Jake był wyraźnie zaszokowany.

- Jeździsz na wyścigi motocyklowe. To nie jest zawód.

Podniósł brew.

- Sprawdziałś mnie?

Tak, pomyślała, ale to nie ma nic do rzeczy. Poza tym przecież nie śledziła go systematycznie przez te wszystkie lata. Tylko raz poszukała jego nazwiska w Internecie. I to wystarczyło.

W jednym z artykułów przeczytała: „Jake Lonergan pędzi na swoim motorze, jakby ścigał się ze śmiercią. Nigdy nie zachowuje się bezpiecznie i ostrożnie. Ten zawodnik jeździ tak, jak nikt inny by się nie odważył. Ze swojego motoru wyciska prędkości niespotykane na torach wyścigowych. Kiedy Jake Lonergan uczestniczy w zawodach, jedzie po zwycięstwo, nawet jeżeli miałyby go to kosztować życie”.

Słowa te zabrzmiały w jej pamięci i ledwo zdołała stłumić dreszcz. Eric potrzebował w życiu męskiego wzorca, ale nie takiego jak Jake.

Ona też go nie potrzebowała, bez względu na to, co mówiło jej ciało. Skan i przerobienie pona.

- Wystarczająco, by wiedzieć - powiedziała cicho, patrząc mu w oczy - że nic się nie zmieniłeś. Wciąż szukasz dreszczyku przygody. Adrenaliny. Kiedy byłeś mały, jak szalony jeździłeś ciężarówką dziadka. Teraz ścigas się w niebezpiecznych zawodach i nawet twoi przeciwnicy uważają, że jesteś szalony.

Spojrzał na nią nachmurzony i wyprostował się.

- Jeżdżę na wyścigi, bo lubię.

- I to mnie właśnie martwi - wybąkała.

- Ale to nie jest całe moje życie. Nie zajmuję się tylko tym. Prowadzę też własny biznes, Jake's Choppers. Projektuję i buduję motocykle dla ludzi, którzy mają więcej pieniędzy niż dobrego gustu.

O tym nie wiedziała. Prawdopodobnie mogła to znaleźć, ale po wspomnianym artykule przestała więcej czytać.

- To miło, Jake, ale...

- I założyłem schronisko dla uciekinierów w Long Beach.

- To... - urwała i popatrzyła na niego zdumiona. - Naprawdę?

Przytaknął powoli, patrząc jej w oczy.

- Jestem również członkiem zarządu kilku firm, w których mam udziały.

-W zarządzie...

Donnie nie mieściło się to w głowie. Stał przed nią w świetle księżycy, jak współczesny pirat, z kucykiem, w brudnych dżinsach i zakurzonych butach, nie mówiąc już o gniewnym wyrazie twarzy. Nie odpowiadał wyobrażeniu o biznesmenie.

- Ponadto - dokończył jeszcze ciszej - moja firma projektowa prowadzi coroczny konkurs dla młodych inżynierów, dając im szansę na realizację ich pomysłów.

- Nie wiedziałam - powiedziała, ale nie była całkiem pewna, co zrobić z tymi wszystkimi informacjami. Czy to coś zmieniało? Czy zmieniło charakter Jake'a? Wystarczy spojrzeć, jak się ubiera. Wciąż jest buntownikiem. Wciąż balansuje na krawędzi. No i sam potwierdził, że lubi brać udział w niebezpiecznych zawodach.

- Mogłaś zapytać - odparł szorstko, krzywiąc usta.

Przytaknęła.

- No dobrze. W porządku. Przyznaję, osiągnąłeś więcej, niż przypuszczałam. Ale wciąż są te wyścigi, Jake. Czyli, jak napisali w jednym z artykułów, ściganie śmierci.

Przesunął obiema rękami po twarzy, zerknął, czy Eric wciąż się boryka z rowerem, i zapytał:

- I ty w to uwierzyłaś? W opinię jednego faceta?

- To do ciebie pasowało - powiedziała. - I nie chciałabym, żeby Eric coś z tego przejął.

- Donno, przecież nie zabiorę go na zawody.

- Nie zabierzesz.

- Ale też nie będę się trzymał od niego z daleka. - Jego twarz złagodniała. - To fajny chłopak.

Najpewniejszym sposobem na podbicie serca matki jest pochwalenie jej dziecka. Donna stopniała nieco.

- Tak, to prawda.

- Nie zrobiłbym niczego, co mogłoby go skrzywdzić.

Głos załamał mu się z nadmiaru emocji, a Donna wiedziała, ile go kosztowało to stwierdzenie.

- Wiem, Jake, naprawdę.

- Ale?

- Ale - powtórzyła, patrząc w te ciemne oczy, które będą ją prześladować przez resztę życia - to nie znaczy, że i tak nie zostanie skrzywdzony.

- Mamo - zawołał Eric. - Ten rower nie mieści się do twojego bagażnika.

- Połóż go z tyłu samochodu Coopera. Jest taki duży, że zmieści się na nim łódka - odkrzyknął Jake.

- Super - wykrzyknął Eric. - Mogę prowadzić?

- Nie - zareagowała natychmiast Donna.

Jake zaśmiał się.

- Doceń, że próbuje.

- Jake... - Donna urwała.

- Posłuchaj, odwiozę go do domu, a rozmowę dokończymy jutro.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Przy kolacji?

- Jake przychodzi do nas na kolację? - Eric przeszedł obok nich, kierując się w stronę suwa Coopera. - Super. Możemy zrobić spaghetti?

- Świetny pomysł. - Jake spojrzał pytająco na Donnę. Wiedziała, że jest na przegranej pozycji. Przynajmniej w tej chwili.

- No dobrze - burknęła. - Może być spaghetti.

- Ale fajnie! - dobiegł do nich głos Erica.

- Przyniosę wino - powiedział Jake, pochylił się, pocałował ją szybko w usta i pobiegł pomóc Ericowi.

Donna patrzyła za nimi przez chwilę, starając się dojść do tego, w którym momencie straciła kontrolę nad sytuacją.

Następnego popołudnia Jake czuł się jak nastolatek szykujący się na pierwszą randkę. Wiedział, że to głupie, ale nie mógł się pozbyć tego wrażenia. Wczoraj, podczas grilla, świetnie się bawił w towarzystwie Donny i Erica, dopóki nie zauważył, że Donna wzdryga się za każdym razem, kiedy pada imię Maca. Podsyciło to tylko jego poczucie winy.

Włożył butelkę czerwonego wina do bagażnika i zamknął pokrywę. Wziął kask ze stołu, odwrócił się i zobaczył w otwartych drzwiach Coopera.

- Czego?

- Miły jak zawsze - zachichotał Cooper i powoli wszedł do środka, trzymając ręce w kieszeniach czarnych spodni.

- Nie boisz się pobrudzić tych czarnych bucików? - Jake zapiał pasek przy kasku.

Cooper zignorował to pytanie i zadał swoje:

- Randka z piękną Donna, co?

- Nie randka - zaprotestował Jake, chociaż dla niego była to właśnie randka. - To tylko kolacja. Z nią i z Erikiem.

- Aha. - Cooper przesunął palcem po stole, zerknął na nagromadzony brud i szybko go strzepnął. - To już za nią nie szalejesz?

- Co takiego? - Wszystko w nim nagle zamarło.

- Daj spokój, Jake, nie jestem głupi. Nie byłem też głupi, kiedy byliśmy młodzi. - Cooper wzruszył obojętnie ramionami i oparł się o brzeg stołu. - Mac nic nie zauważył. Nigdy nie widział nic poza silnikami, nad którymi pracowaliście. Zawsze się zastanawiałem, dlaczego ty i Donna w końcu się nie zgadaliście.

Jake cisnął kask na czarne skórzane siedzenie motocykla.

- Odczep się, Coop.

- Za chwilę. - Cooper przechylił głowę na bok i przyglądał mu się. - Widziałem cię z nią wczoraj wieczorem, wiesz? Nie mogłeś oderwać od niej oczu.

- To tak się odczepiasz?

- Nie.

- Koniec rozmowy.

- Prawie. - Cooper oderwał się od stołu, przeszedł kilka kroków i stanął przed Jakiem. - Wiem, co czujesz.

- Ach tak?

- Wciąż czujesz się winny z powodu Maca - powiedział miękko Cooper. - I dlatego nadal nie zabiegasz o Donnę, tak jak powinieneś piętnaście lat temu. Rozpoznaję w twoich oczach takie samo poczucie winy, jakie wystarczająco długo widziałem we własnych.

Jake przełknął ślinę i chciał zaprzeczyć. Co jednak mógł powiedzieć? Patrzył na Erica i czuł w duszy ukłucia żalu. Nie mógł zrobić nic, co naprawiłoby to, czego nie zrobił piętnaście lat temu. Zawsze już będzie musiał się zmagać z wyrzutami sumienia.

- Do czego zmierzasz?

- Chodzi mi o to, Jake - Cooper położył mu dłoń na ramieniu - że nie powinieneś się obwiniać. Byliśmy dziećmi. Nie wiedzieliśmy, że Mac jest w niebezpieczeństwie. A poza tym - dodał z uśmiechem - to ty chciałeś skoczyć po niego do jeziora, pamiętasz? To nie była twoja wina. Powinieneś przestać to sobie wyrzucać.

- Jasne - wymamrotał Jake, potrząsając głową. - Niczyja wina. Po prostu się stało. Mac umarł. My przeżyliśmy. Proste.

- Nic nie było proste. - Cooper puścił go i cofnął się o krok. - Ale nie bierz całej winy na siebie. Jeżeli wciąż pragniesz Donny, do roboty. Nie jesteś Macowi nic winien.

Jake jednak wiedział lepiej. Znał prawdę, którą przed wszystkimi ukrył. Cooper miał rację, że to Jake chciał

skakać do jeziora po kuzyna, ale nie dlatego, że się o niego martwił.

Nie. Myślał tylko o sobie. Chciał wskoczyć do wody i wyciągnąć Maca, zanim pobije jego rekord. To nie troska popychała go do działania, lecz zwykły egoizm.

Podobnie jak tamtej nocy, kiedy prawie kochał się z Donna. Nigdy nie był z Makiem szczerzy w kwestii swoich uczuć do Donny. Nie potrafił, jak prawdziwy mężczyzna, przyznać, że zakochał się w dziewczynie kuzyna.

A tej winy nie mógł nikomu wyjawić.

- Odsuść, Coop, dobrze?

- Ja tylko mówię...

- Rozumiem. A teraz odsuść.

- Dobra. - Cooper ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się jednak w plamie księżycowego światła i jeszcze raz spojrział na Jake'a. - Ale powinieneś wiedzieć, że wczoraj wieczorem widziałem też, jak Donna patrzyła na ciebie. I jeżeli tym razem pozwolisz jej odejść, będziesz frajerem.

- Kolacja była pyszna.

Donna patrzyła, jak Jake bierze mokry talerz i powoli go wyciera.

- Dzięki, ale to przecież tylko spaghetti. Trudno je zepsuć,

- Mnie się to udawało - uśmiechnął się.

Czuła, że również się uśmiecha w środku, ale zwalczyła to. Dobrze się bawiła z nim i z Erikiem. Zbyt dobrze. Ponieważ mamy nie było w mieście, kolację jed-

li tylko we trójkę i kilka razy podczas posiłku czuli się prawie jak rodzina. Eric opowiadał o swoim przyjacielu Jasonie i parku skateboardowym poza miastem. Potem Jake zabawiał ich historyjkami o krajach, które zwiedził, i o rzeczach, które widział.

Donna zazdrościła mu trochę tych przygód. Czasu spędzonego z Erikiem nie zamieniłaby na nic, jednak były miejsca, które chciała zobaczyć, i rzeczy, które zawsze planowała zrobić.

- Zamyśliłaś się - zauważył Jake.

- Przepraszam. - Donna uśmiechnęła się nienaturalnie i skłamała: - Zastanawiałam się, czy Eric nie zapomniał wziąć do Jasona... szczoteczki do zębów.

Teraz oczywiście żałowała, że się zgodziła, kiedy najlepszy przyjaciel Erica zadzwonił i zaprosił go na noc. Gdyby nie to, wciąż byłby tu w charakterze przyzwoitki.

Żałosne, pomyślała. Stawiać czternastoletniego syna na straży własnych hormonów.

- Zabrał, co potrzeba. - Jake wziął od niej kolejny talerz. - Naprawdę o tym myślałaś?

- Nie - przyznała z westchnieniem. Wyciągnęła korek ze zlewu i jak zahipnotyzowana patrzyła na spływającą wodę. - Myślałam o tych wszystkich miejscach, o których mówiłeś przy kolacji. Hiszpania, Włochy, Szwajcaria. - Odwróciła głowę i spojrzała na niego. - Zawsze chciałam zwiedzać świat.

- Nic ci nie stoi na przeszkodzie.

Zaśmiała się krótko.

- Jasne. Tylko Eric. I praca. I mama. I...

- W porządku, nie byłoby to proste, ale jeżeli czegoś pragniesz, powinnaś zrobić wszystko, żeby to osiągnąć.

Uderzył ją jego ton. Powoli podniosła wzrok i ujrzała w jego oczach gorące płomienie pożądania.

- Jake.

Odrzucił ściereczkę na blat, podszedł do niej i pochylił się.

Kuchnia jej matki była przytulna, ciepła i swojska. Zapach kolacji wciąż unosił się w powietrzu, a między nimi iskrzyło.

- Donno, coś jest między nami. Zawsze było.

- Nie mówię, że nie. - Powinna była zaprzeczyć, ale nie zrobiła tego. Nie mogła. Nie mogła skłamać, bo i tak na pewno widział to w jej oczach. - Ja tylko mówię, że nie powinniśmy...

- Dlaczego nie?

- No bo Eric i...

- Erica tu nie ma.

- Teraz nie ma. - Dlaczego pozwoliła mu wyjść? Głupia, głupia. - Ale jutro będzie. I pojutrze i następnego dnia.

- A ty nie masz prawa do własnego życia, dopóki on nie dorośnie i nie zacznie żyć swoim?

Nie brzmiało to dobrze, chociaż właśnie tak postępowała, dopóki Jake nie pojawił się w mieście. Przez tyle czasu skupiała się wyłącznie na Ericu, że ledwo mogła sobie przypomnieć jakiegokolwiek marzenia, które nie dotyczyłyby syna. Był dla niej najważniejszą osobą na świecie, ale wiedziała, że jeżeli w końcu nie ułoży sobie

życia, to kiedy Eric dorośnie i się wyprowadzi, nic jej nie pozostanie. Jednak.

- Mam, ale każda decyzja, którą podejmuję, dotyczy również jego.

Stał tak blisko, że niemal czuła jego dotyk. Chciała się przysunąć, żeby jego ręce znalazły się na jej ciele. O Boże.

- Zgoda - powiedział, pochylając głowę, aż jego usta zatrzymały się na wysokości jej warg. - Ale w tej chwili jesteśmy sami.

- Jake - wyszeptała, zamykając oczy. Wiedziała, że nie potrafi mu się oprzeć, kiedy na niego patrzy. Wciągnęła głęboko powietrze. - Proszę, nie rób tego.

Podniósł dłoń i palcami przesunął po wypukłości jej piersi. Przez jasnoniebieską bluzeczkę poczuła jego ciepło. Wypuściła powietrze i miała nadzieję, że uda jej się wziąć kolejny oddech.

- Naprawdę chcesz, żebym sobie poszedł?

- Nie - przyznała, chwytając jego dłoń i ściskając ją mocno. Nerwowo przygryzła dolną wargę. - Dlatego powinieneś już iść.

Odsunął się od niej i kiwnął głową.

- Dobrze, jeżeli naprawdę tego chcesz, wyjdę. Pod jednym warunkiem.

- Nie przyjmujesz odmowy, prawda?

- Nie.

Donna westchnęła.

- Dobrze. Niech będzie. Jaki to warunek?

- Pojedziesz ze mną na przejażdżkę przy świetle księżycy.

Tego się nie spodziewała.

- Twoim motorem?

- Tak. Teraz.

- Och, nie wiem - zawahała się. - Już zapowiedziałam Ericowi, że nie będzie mógł się przejechać twoim motorem, a...

- Nie zabiorę na niego Erica - rzekł, wyciągając do niej rękę - tylko ciebie.

Była głupia, naprawdę głupia. W milczeniu podała mu dłoń. Prawdopodobnie następnego ranka będzie tego żałowała, ale teraz niczego bardziej nie pragnęła, niż siedzieć za Jakiem na motorze pędzącym wśród nocy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ciemność wirowała wokół nich. Jake skoncentrował się na drodze, ale był całkowicie świadomy tego, że Donna siedzi tuż za nim, mocno przytulona. Jej uda spoczywały wzdłuż jego ud, a ramiona oplatały go ciasno w pasie. Mógł przysiąc, że czuje na plecach ciepło jej twardych sutków.

Znajome trasy wydawały mu się tej nocy jakieś inne. Letnie powietrze słodko pachniało jaśminem, a droga przed nimi była na tyle pusta, że mieli wrażenie, jakby ta noc należała tylko do nich.

Jake kochał prędkość. Szybkie samochody, szybkie motory. Zarabiał, konstruując choppery, sportowe motocykle do jazdy terenowej i akrobatycznej, dla tych, którzy mieli wystarczająco dużo pieniędzy, aby sobie na nie pozwolić, ale jego życiem były wyścigi. Ściganie się na granicy bezpieczeństwa. Nic nie mogło się równać z migającym przed oczami światem. Przypływ adrenaliny był wówczas silniejszy niż wszystko inne, co mógł odczuwać.

Aż do dzisiejszej nocy.

Dotyk obejmujących go ramion Donny, jej oddech,

który czuł na karku, ciepło jej ciała przyciśniętego do niego - nic nie mogło się z tym równać.

Dziwne, tego wieczoru prędkość go nie pociągała. Chciał zwolnić. Po raz pierwszy w życiu Jake chciał nieco zdławić potężny silnik motoru. Wiedział jednak, że i tak tych kilka chwil, które może z nią spędzić, szybko upłynie.

- Dokąd jedziemy? - spytała. Jej usta były blisko jego ucha, ale głos ledwo się przebił przez ryk silnika.

- Czy to ma znaczenie? - odkrzyknął, zaciskając mocniej dłonie na uchwytych kierownicy.

- Nie. - Położyła głowę na jego ramieniu, a on rozjaśnił się wewnątrz tak, jak niebo podczas pikniku z okazji Czwartego Lipca.

Jake zacisnął zęby i walczył z narastającą falą pożądania. Było tylko jedno miejsce, gdzie chciał ją zabrać. Gdzie musiał ją zabrać.

Nie potrzebował latarni, żeby znaleźć drogę. Pamiętał te boczne ścieżki tak dobrze, że trafiłby do tamtego zagajnika na ślepo. Zresztą w zasadzie i tak niewiele widział. Księżyc w nowiu był zaledwie nikłym światełkiem na niebie wypełnionym migoczącymi gwiazdami. Po obu stronach drogi rozciągała się ciemność przerywana tylko co jakiś czas błyskami świateł z okien gospodarstw.

Jake skręcił w kamienistą ścieżkę i poczuł, że Donna zeszywniała. Rozpoznała tę drogę. Nie poprosiła go jednak, żeby się zatrzymał, ani nie kazała mu zawrócić. Był jej za to wdzięczny, bo nie był pewien, czy byłby w stanie spełnić taką prośbę.

Kiedy w oddali zamajaczył ciemniejszy kształt, Jake skierował się ku niemu. Ten mały dębowy zagajnik zajmował w jego pamięci specjalne miejsce. To o tym miejscu marzył i ono wypełniało jego zmysły zapachami i dźwiękami owego ostatniego lata. Tej jednej gorącej, księżycowej nocy, kiedy on i Donna prawie...

Zatrzymał motor na skraju lasu i wyłączył silnik. Zapadła cisza, a on siedział nieruchomo, trzymając wyprostowane nogi na trawie po obu stronach pojazdu.

Świerszcze cykały, a lekki wiaterek poruszał delikatnie liśćmi drzew, które szumiały niczym stłumione szeptu oczarowanego tłumu. Opuścił podpórkę i poczekał, aż Donna zsiądzie z motoru. Podeszła do najbliższego drzewa i wyciągnęła rękę, by dotknąć guzowatej kory. Cofnęła ją jednak jak oparzona. Odwróciła się do Jake'a.

Wśród panującej ciemności bacznie śledził wyraz jej twarzy. W jej oczach dostrzegł napięcie i wspomnienia.

- Jake, dlaczego mnie tu przywiozłeś?

Włożył obie ręce do kieszeni i podszedł do niej. Teraz, kiedy znajdowali się w miejscu, gdzie wyobrażał ją sobie tyle razy, nie za bardzo wiedział, co ma powiedzieć.

Jak ma jej wyznać, że chwile, które spędzili razem w tym ocienionym zagajniku, były najwspanialszymi w jego życiu? Jak żałośnie by to zabrzmiało! Dorosły mężczyzna uczepony wspomnień pierwszej miłości siedemnastolatka?

Nie. Nie mógł jej tego powiedzieć. Nie był w stanie się przyznać, że po niej żadna kobieta nic dla niego nie znaczyła. Nawet sam przed sobą nie potrafił stanąć w praw-

dzie, że nigdy nikogo nie pożądał tak intensywnie i gorąco, jak jej za pierwszym razem, kiedy jej dotknął.

- Wydawało mi się, że to dobry pomysł - powiedział tylko.

- Wcale nie był dobry. - Donna otuliła się ściśle ramionami, przygryzając dolną wargę. Oczy jej się zachmurzyły. - To... bolesne.

- Dlaczego bolesne? - zapytał szorstko, z trudem wymawiając słowa. - Z powodu tego, co prawie zrobiliśmy? Czy ponieważ tego nie zrobiliśmy?

- Z obu powodów.

Zakłuło go w sercu. Zrobił jeden długi krok, chwycił ją za ramię i przyciągnął bliżej. Odrzuciła głowę, a ich spojrzenia się spotkały. W jej oczach ujrzał odbicie księżycy i gwiazd. Poczł pulsującą falę pożądania.

- Donno, tamtej nocy nie było bólu - wymamrotał ciężko.

- Tamta noc była błędem. - Donna zwilżyła językiem suche wargi i starała się złapać oddech. - Teraz też byłoby to błędem.

Uścisk na jej ramieniu zelżał, ale Jake wciąż trzymał ją mocno. Złapał drugie ramię i potarł o jej skórę kciukami, delektując się tym dotykiem.

- Jedynym błędem tamtej nocy było to, że uciekłaś ode mnie - szepnął łagodnie.

Z trudem przełknęła ślinę i odrzuciła włosy z twarzy.

- Powiedziałam ci, dlaczego uciekłam. Miałam piętnaście lat i byłam przerażona. Przerażona tobą. I tym, co przez ciebie poczułam.

- A czy myślisz, że ja nie byłem przerażony? - Zaśmiał się krótko. - Byłem niewiele starszy od ciebie, wiesz? I nigdy wcześniej nie czułem czegoś takiego, jak tamtej nocy.

Zamknęła oczy i wymknęło jej się znużone westchnienie.

- Po co to robisz, Jake? Minęło piętnaście lat. Dlaczego teraz?

Przesunął wzrokiem po jej twarzy. W jego sercu wyglądała dokładnie tak jak wtedy. Jej oczy jaśniały wówczas niewinnością i pożądaniem, którego nie rozumiała. On miał siedemnaście lat i był niewiele bardziej doświadczony niż ona. Wiedział jednak, że jej pragnie. Że jej potrzebuje.

Jak się okazało, to się nie zmieniło.

-Ponieważ samo przebywanie w twojej obecności sprawia, że to wszystko powraca. Myślałem o tobie - przyznał. - Przez te wszystkie lata zawsze byłaś ze mną, na obrzeżach mojego umysłu. Zawsze przypominałaś mi, co prawie mieliśmy. Co prawie odnaleźliśmy.

-Jake...

- Powiedz mi, że o mnie nie myślałaś - zażądał, nie pozwalając jej odwrócić wzroku. Zacisnął mocniej palce na jej ramionach. - Powiedz mi szczerze, że ani razu nie żałowałaś swojej ucieczki, a zawiozę cię do domu i już nigdy nie wrócimy do tego tematu.

Wytrzymała jego spojrzenie. Sekundy mijały, a on słyszał jedynie oddech wiatru i pieśń świerszczy. Serce waliło mu jak młotem i czuł, że płonie od środka.

Wreszcie, kiedy już myślał, że straci panowanie nad sobą, przemówiła:

- Żal niczego nie zmienia.
- To nie jest odpowiedź.
- Jake, znasz odpowiedź - patrzyła mu w oczy - ale to niczego nie zmienia.
- My możemy to zmienić.
- Możemy? - spytała, potrząsając głową. - Ale czy powinniśmy?

- Donno, już nie jesteśmy dziećmi. - Przesunął po niej głodnym spojrzeniem. - Nie ma powodów do ucieczki. Nie ma powodu, żebyśmy nie przeżywali tego, czego oboje chcemy.

Zaśmiała się krótko.

- Oczywiście, że są powody - westchnęła. - Zbyt wiele, żeby je wyliczyć.
- One się nie liczą. - Patrzył, jak emocje przepływają przez jej oczy, zbyt szybko, by mógł je zidentyfikować.
- Czyżby?
- Pragnąłem cię wtedy i pragnę cię teraz. To wszystko, co się dziś liczy.

Na krótki moment oparła czoło o jego pierś, po czym podniosła głowę i znów na niego popatrzyła.

- Nawet wtedy trudno było ci się oprzeć.
- A jednak ci się udało - uśmiechnął się gorzko.
- Byłam tak przerażona...
- Tak. Już to mówiłaś. Przestraszyłem cię tak bardzo, że pobiegłaś do Maca.

Lekko zeszywniała.

- Mac był kochany. Delikatny. Uprzejmy.
 - Miał wszystkie cechy, których ja nie miałem? - To też go zabolalo, ale nie miał zamiaru jej tego pokazać.
 - Jake, przestań. Nie rób tego. - Potrząsnęła głową, a jej włosy zatańczyły miękko.
 - Pragnęłaś mnie - powiedział. - Nie Maca.
- Zamknęła oczy i przytaknęła.
- Tak, pragnęłam ciebie - przyznała. - Ale chciałam pragnąć Maca.
 - I co, stało się tak? - zapytał, a powiew wiatru przecieciał ponad nimi niczym błogosławieństwo. - Kiedy byłaś z nim, widziałas jego, czy widziałas i czułaś mnie?

Popatrzyła mu w oczy, a on wyczytał w jej spojrzeniu prawdę.

- Naprawdę potrzebujesz to usłyszeć?
- Myślę, że po piętnastu latach zasługuję na to.
- Dobrze. To byłeś ty, Jake. To zawsze byłeś ty.
- A więc pamiętasz, co czuliśmy.
- Jak mogłabym zapomnieć?

To mu wystarczyło. Przyciągnął ją bliżej i uniósł, tak że stanęła na palcach. Patrząc jej w oczy, pochylał głowę coraz niżej, niespiesznie, rozkoszując się słodkim oczekiwaniem.

Wreszcie jego usta przywarły do jej warg, a czas się cofnął. Westchnął i poddał się ogarniającej go fali ciepła.

Donna jęknęła, rozchylając wargi pod słodkim atakiem Jake'a. Od tamtej odległej nocy nigdy nie doznała takiego ścierania się tyłu różnych emocji naraz.

Jej ciało odżyło, a pragnienia, które już dawno pogrzebała, eksplodowały dziko. Płoneło każde zakończenie nerwowe jej ciała, rozpalając się coraz mocniej pod dotykiem jego dłoni.

Przyciągnął ją ku sobie jeszcze bliżej, a ona oplotła ramionami jego szyję i wtuliła się w niego, jak tylko mogła najmocniej. Potężne dłonie chwyciły jej pośladki i podniosły, przyciskając. Otoczyła go nogami w pasie i zaczęła kołysać biodrami.

Lata całe minęły, od kiedy czuła coś podobnego. Jedynie w snach, podczas samotnych nocy, pozwalała sobie na wspomnienia i rozmyślania.

Przez ostatnie piętnaście lat Donna próbowała pogrzebać swoje potrzeby. Liczył się tylko Eric. Zasługiwał na jej uwagę. Czyż jednak - myślała teraz, kiedy ręce Jake'a rozbudzały jej ciało - nie mogła sobie pozwolić na jedną noc? Na kilka godzin, w czasie których będzie się liczyła tylko ona i jej pragnienia?

Jako nastolatka była zbyt przerażona tym, co czuje, żeby na to pozwolić. Teraz przerażała ją wyłącznie myśl o tym, że mogłaby nie przyjąć tego, co Jake miał do zaoferowania.

Jake wsunął jedną dłoń między ich ciała, a Donna postanowiła wyłączyć rozum. Nie chciała myśleć. Chciała tylko czuć. Tylko ten jeden raz w życiu. Później będzie się martwić o konsekwencje.

Rozpiął jej dzinsy. Donna przerwała pocałunek, odrzuciła głowę i spojrzała na rozgwieżdżone niebo, podczas gdy on wsunął palce pod jej bieliznę.

- Nie sięgam. Nie mogę... cię dotknąć - wymruczał, opuszczając głowę.

Zadrżała. Nie chciała opuszczać jego objęć, ale pragnęła poczuć tam jego dłonie. Skończyła już z udawaniem. Z okłamywaniem samej siebie. Zawsze pragnęła dotyku Jake'a, i dzisiaj go dostanie. Wreszcie.

- Dotknij mnie, Jake - westchnęła, a jej mięśnie drżały od nagromadzonego pożądania. - Musisz to zrobić. Teraz.

Mruknął coś chrapliwie, chwycił ją w tali i postawił przy drzewie. Szorstka kora wbijała jej się w plecy, ale nie dbała o to. Liczyło się tylko spojrzenie jego oczu, kiedy zsuwał w dół jej spodnie i bieliznę. Rozkoszowała się pocałunkami wiatru na nagiej, rozgrzanej skórze.

Serce waliło jej mocno. Spojrzała Jake'owi w oczy i wyczytała w nich ten sam głód.

Nagle jednak wyraz jego twarzy zmienił się. Sposepniał.

- Co? - Zdołała wykrztusić z siebie tylko jedno słowo.

Wyglądał, jakby miał ochotę w coś kopnąć.

- Nie mam nic przy sobie. - Donna spojrzała na niego tępo. - Prezerwatyw.

Zachichotała.

- Duży niegrzeczny Jake Lonergan nie nosi już kondomów w portfelu?

Przeciagnał dłonią po twarzy.

- Już nie jestem napalonym dzieciakiem szukającym przygód.

Wciągnęła gwałtownie powietrze. Teraz miała szansę

zatrzymać to, zanim posuną się dalej. Wiedziała jednak dobrze, że z niej nie skorzysta.

- Chyba macz szczęście - powiedziała głosem niskim od pożądania.

- Tak?

- Tak. Jeżeli przysięgniesz mi, że jesteś zdrowy.

- Oczywiście, że jestem. - Poczłł się urażony, że mogła pomyśleć, że dotknąłby jej, gdyby nie był.

- Ja też - powiedziała. - I biorę pigułki - dodała.

- To chyba najlepsza wiadomość, jaką kiedykolwiek słyzałem. - Uśmiechnął się miękko i podszedł bliżej. - Jesteś piękna - wyszeptał. - Jeszcze piękniejsza niż wtedy.

Donna czuła się piękna. Widziała w jego oczach żar i rozkoszowała się świadomością, że ten mężczyzna pragnął jej tak rozpaczliwie, jak ona jego.

Jake ściągnął koszulkę, wystawiając na jej zachłanne spojrzenie szeroką i umięśnioną klatkę piersiową. Wyciągnęła dłoń i przesunęła czubkami palców po jego skórze. Wtedy zdjął z niej bluzkę i rzucił na ziemię. Stała naga w świetle księżyca, a powiew wiatru pieścił jej ciało. Poczłła dreszcz zakazanego owocu.

Rozpiął spodnie, a ona podeszła do niego i wsunęła się w jego ramiona, jakby tam od zawsze było jej miejsce. Posadził ją sobie na biodrach, a ona otoczyła go nogami w pasie i ramionami oplotła szyję. Patrzyli sobie w oczy. Zaczął ją pieścić w najbardziej wrażliwym miejscu. Zadrżała i przytrzymała się kurczowo jego ramion, kiedy przeszedł ją pierwszy cudowny dreszcz. Wymawiała jego imię i poruszała biodrami w poszukiwaniu...

- Jake, proszę - jęknęła błagalnie. - Proszę...

- Chodź do mnie, maleńka.

Nie mogąc się dłużej powstrzymać, poddała się ogarniającej ją fali. Jej ciałem wstrząsnęła niewiarygodna rozkosz, a jego silne ramiona podtrzymywały ją mocno. Wreszcie Donna pozwoliła sobie być tym, kim zawsze chciała być.

Dzika.

Z Jakiem.

Zaczęli wirować na karuzeli pożądania. Jake nadawał im rytm, podsyczał ogień i regulował płomienie. Był wszystkim - wypełniał jej ciało, umysł i duszę.

Nie istniało nic poza tą kępą drzew i nimi. Znajdowali się w odrębnym świecie, do którego należeli tylko oni. Nie chciała myśleć o tym, że ten świat skończy się wraz z pierwszymi promieniami słońca.

W świetle księżyca, ukryci pod dębami, odnaleźli magię, którą zagubili tak dawno temu.

Godzinę czy dwie później Jake leżał wyciągnięty na ciepłej trawie, a Donna na nim. Kochali się tak długo, aż żadne z nich nie miało sił się podnieść. Nie pamiętał wspanialszej nocy w całym swoim życiu.

Przesunął dłonią po jej plecach, uśmiechając się do siebie. Była lepsza, niż sobie wymarzył. Lepsza, niż miał nadzieję. Ale wciąż nie była jego. Czuł to. Wiedział, że podzielała jego namiętność. Jednak kiedy noc się skończy, znowu ucieknie.

Nie do Maca.

Ale i tak ucieknie.

- O czym myślisz? - Donna skrzyżowała ramiona na jego piersi i położyła na nich podbródek.

- Dlaczego wydaje ci się, że myślę?

- Zmarszczyłeś brwi.

- Tak? - Podniósł dłoń i spróbował wygładzić sobie czoło.

- Chcesz mi powiedzieć?

- Nie bardzo. - Wiedział, że kiedy wspomni o jej ucieczce, odejdzie. A nie był jeszcze gotowy na jej zniknięcie. Długo czekał na tę noc.

Kiwnęła głową.

- No to ja powiem tobie, o czym myślałam.

- Dobrze.

- Myślałam, że to było cudowne - w jej głosie wyczuwał żal i wiedział, że był szczery - i że już się nie powtórzy.

Jake zaśmiał się krótko, a tym razem ona zmarszczyła brwi.

- O co chodzi?

- To właśnie o tym myślałem - powiedział, klepiąc ją lekko po pośladku. - Że zaraz znowu uciekniesz.

Usiadła nad nim i spojrzała mu w oczy.

- Wcale nie uciekam, tylko mówię...

- Że wciąż nie jestem wystarczająco dobry?

- To nie to, wiesz przecież.

Spróbowała się z niego ześlizgnąć, ale przytrzymał ją mocno dłońmi za biodra.

- A więc dlaczego?

- Ponieważ nie mogę tak po prostu robić tego, co chcę - powiedziała, kładąc ręce na jego dłoniach. - Mam syna. Muszę myśleć o nim.

- Eric nie ma tu nic do rzeczy.

- Oczywiście, że ma. Jestem jego matką. Powinnam się skupić na nim, a nie na...

- Seksie? - dokończył za nią, pieszcząc ją delikatnie dłonią. Donna zaczerpnęła powietrza jak tonąca.

- To nie fair.

Znowu się zaśmiał.

- A kogo obchodzi fair play?

- Do diabła, Jake. - Poddała się jego dotykowi, przygryzając dolną wargę i drżąc. - To niczego nie rozwiązuje.

- Może nie musi - powiedział, ponownie obejmując jej biodra. Podniósł ją, a potem opuścił na siebie. - Donno... - Sięgnął do jej piersi i przykrył je dłońmi, a oddech uwiązał mu w gardle, kiedy położyła ręce na jego dłoniach i przycisnęła, poddając się pożądaniu.

Jake nie mógł oderwać od niej wzroku. W księżycowej poświacie wyglądała jak sen.

Chwilę później przekonał się jednak, że jest jak najbardziej rzeczywista. I że gdyby sobie pozwolił, mógłby ją pokochać.

I że jeżeli znów ją utraci, może go to zabić.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Co ty tu robisz? - zapytał Jake trzy dni później Erica, który powoli wczłapał do stodoły Lonerganów.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Nic - odburknął, przesuwając spojrzeniem po warsztacie i leżących na nim narzędziach. - Wpadłem się przywitać.

- Czy twoja mama wie o tym?

- Zostawiłem jej kartkę.

- Kartkę, którą zobaczy, dopiero jak wróci z pracy?

- No tak. - Eric rzucił wujowi półuśmiech. Tak bardzo przypominał w tym geście swojego ojca, że Jake'owi zaparło dech w piersiach. - Ona nie chce, żebym się z tobą zadawał - przyznał, podchodząc do lśniącego w blasku słońca motocykla. Przejechał palcem po chromowanym baku. - Martwi się, że będziesz miał na mnie zły wpływ.

- Tak powiedziała? - Jake zacisnął zęby. Cholera. Stawianie mu zarzutów osobiście to jedno, ale nastawianie syna Maca przeciw niemu było czymś zupełnie innym.

Eric odgarnął czarne włosy z oczu.

- Słyszałem, jak mówiła babci.

Doskonale.

Zły wpływ.

Zdaje się, że w końcu niczego nie ustalili. Od ich długo wyczekiwanej nocy w zagajniku minęły trzy dni, w ciągu których nie odezwała się do niego ani słowem. Jake dzwonił do niej do domu, zostawiał wiadomości, rozmawiał z jej matką i nic.

Zupełnie jakby kobieta, z którą był tamtej nocy, rozwiła się w jego wspomnieniach tak skutecznie jak piętnaście lat temu.

Jake patrzył z niezadowoleniem na swojego młodszego kuzyna. Jeśli miał być szczery, rozumiał stanowisko Donny. Gdyby miał syna, też by nie chciał, żeby naśladował jego styl życia.

Jednak Jake nigdy nie miał powodu, by obrać inną drogę. Poza dziadkiem i kuzynami nie miał żadnej rodziny. Żadnych więzów. Nikt w żaden sposób od niego nie zależał. Dlaczego więc, do cholery, nie miałby brać udziału w zawodach? Dlaczego nie miałby wykorzystywać okazji, które odrzucali mężczyźni mający rodziny?

Zmarszczył brwi i skoncentrował się na chłopcu kucającym teraz przy motorze.

- Lubisz pracować nad silnikami?

Eric zerknął w górę i znów się uśmiechnął. Trochę czasu upłynie, zanim przyzwyczai się do uśmiechu Maca na twarzy chłopca.

- Tak, ale nie znam się na nich na tyle, żeby cokolwiek zrobić.

- Mógłbym cię nauczyć - wypalił, a następnie skrzy-

wił się w duchu, wiedząc z góry, co Donna by na to powiedziała.

- Naprawdę? - Dzieciak rozpromienił się niczym włączona żarówka. - Byłoby wspaniale. - Po chwili jednak spochmurniał. - Mama pewnie mi nie pozwoli.

- Załatwię to z twoją mamą. - Cóż za odwaga, pomyślał, już przewidując przebieg konfrontacji z Donna.

- Super.

Jake kiwnął głową i oparł się biodrem o stół, krzyżując na piersi ramiona.

- Najpierw jednak idź do domu, zadzwoń do wypożyczalni i powiedz mamie, gdzie jesteś.

Eric wstał i wsunął obie ręce do kieszeni dżinsów, niemal zsuwając luźne spodnie z wąskich bioder.

- Każe mi wracać do domu.

- Porozmawiam z nią po tobie.

- Dobra.

- Dwa dolary za pięć dni - powiedziała Donna, biorąc pieniądze od klientki i wsuwając DVD w pudełko na wynos.

Kiedy klientka wyszła, zadzwonił telefon. Donna sięgnęła po słuchawkę, nie spuszczając oka z pary nastolatków w dziale horrorów.

- Movie Time, słucham?

- Cześć, mamó - zaczął Eric, po czym nie dając jej dojść do słowa, oznajmił: - Chciałem ci tylko powiedzieć, że jestem u dziadka i pomagam Jake'owi pracować przy motorze.

Poczuła skurcz w żołądku.

- Ericu...

- Jake chce z tobą porozmawiać. Pa, mamó. - I szybko przekazał słuchawkę.

- Cześć.

- Cześć. - Zamknęła oczy, na moment zapominając o potencjalnych złodziejach przy półce z horrorami. Niski głos Jake'a wibrował tak głęboko, że opadła na pobliski stołek. Otworzyła oczy i skoncentrowała się na nastolatkach, podczas gdy jej myśli radośnie tańczyły na wspomnienie wydarzeń sprzed trzech dni.

Trzy pełne dni, a jej ciało wciąż żyło. Nawet nie pamiętała, ile razy kochali się w ciągu tych kilku godzin spędzonych w zagajniku. Pamiętała jednak doskonale każdą nutkę podniecenia, każdy płomień pożądania, każdy dotyk i muśnięcie.

Żywe wspomnienia zakłócały sen jej ostatnich nocy. I nie wiedziała, ile jeszcze wytrzyma. Zrobiła jednak to, co uważała za najlepsze. Trzymała się od Jake'a z daleka, zdając sobie sprawę, że jeżeli znowu pobędzie z nim sam na sam, jego nieuchronne odejście będzie o wiele cięższe do zniesienia.

Nie było dla nich przyszłości.

I nie chciała przyszłości z Jakiem.

Reprezentował wszystko, czego przez większość życia starała się unikać. Balansowanie na krawędzi. Brak zobowiązań. Brak reguł. Brak stabilizacji.

Ona zaś już jako dziewczynka wiedziała, czego pragnie. Rodziny. Domu.

A Jake'a nie interesowały te sprawy.

Gdyby więc pozwoliła sobie na zaangażowanie, na radość z przebywania w jego ramionach, na oczekiwanie na jego pocałunki, nic dobrego by z tego nie wynikło.

Boże, tak za nim tęskniła.

- Donno? - zabrzmiał niski, głęboki i zatroskany głos.
- Jesteś tam?

- Tak, Jake - powiedziała, marszcząc brwi na widok jednego z chłopców wsuwającego sobie film pod koszulkę. - Ale nie mogę teraz rozmawiać.

- Dobrze. Eric przyszedł tu na kilka godzin. Może wpadniesz po pracy?

Chłopcy kierowali się w stronę drzwi, ale Donna już wstawiała, żeby ich zatrzymać. - Dobra. W porządku. Jeszcze o tym porozmawiamy. Do widzenia, Jake.

Odrzuciła słuchawkę, wyszła zza lady i stanęła tuż przed chłopcami. Nie patrzyli jej w oczy. Wyciągnęła rękę i powiedziała miękko:

- Oddajcie.

Wyższy chłopiec, mamrocząc coś pod nosem, wyjął film spod koszulki i lekko się skulił.

- Zadzwoń pani po gliny?

- Nie. - Chwyciła ich za ramiona i zaprowadziła do lady. - Zadzwonię do waszych matek.

- O, nie...

- Ty idioto - powiedział drugi chłopak, uderzając kolegę w ramię. - Mówiłem ci, żeby tego nie robić.

Chłopcy byli nieco młodsi od Erica, więc nie chciała dzwonić na policję. Niewątpliwie były to dobre dzieci,

ale musiały się nauczyć, że wszystko ma swoje konsekwencje. Ona sama dowiedziała się o tym w wieku piętnastu lat i była to trudna lekcja.

Podniosła słuchawkę telefonu i wręczyła ją pierwszemu z chłopców.

- Wykręć numer - nakazała, starając się ukryć uśmiech, kiedy dzieciak jęknął rozpaczliwie.

Kiedy dwie godziny później dotarła na rancho Lonerganów, popołudniowe słońce rzucało już na podwórzu długie cienie, a w stodole świeciło się światło. Wysiadła z samochodu i natychmiast powitał ją dobiegający z zabudowań męski śmiech.

Donna westchnęła. Jak mogła liczyć na to, że zatrzyma Erica z dala od jego kuzynów? Było oczywiste, że potrzebował spędzać z nimi czas. Tak się cieszył, że jest członkiem większej rodziny.

Idąc w kierunku stodoły, postawiła sobie kilka pytań i starała się udzielić szczerych odpowiedzi. Czy próbowała trzymać Erica z daleka od Lonerganów ze względu na niego, czy na samą siebie? Czy naprawdę martwiła się o to, jaki wpływ Jake i inni mogli na niego wyrzucić, czy po prostu nie ufała samej sobie, jeśli chodziło o Jake'a?

Chroniła swojego syna, czy też chodziło raczej o chronienie siebie?

Być może, przyznała, jedno i drugie. Być może, jeżeli po prostu zaakceptuje fakt, że Lonerganowie będą teraz stałą częścią życia Erica, znajdzie sposób, aby sobie jakoś z tym poradzić, z widywaniem się z Jakiem i z resztą.

Kopnęła leżący na drodze kamyk, wzbijając małą chmurę kurzu. Z otwartych drzwi stodoły dobiegł ją śmiech syna. Uśmiechnęła się mimo dręczących ją myśli. Nieważne, co jeszcze czuje do Jake'a i pozostałych Lonerganów: zaakceptowali Erica z otwartym sercem i wiedziała, jak wiele to dla niego znaczy.

Kiedy weszła do stodoły, Cooper opowiadał właśnie jakąś historyjkę, więc zatrzymała się w drzwiach, żeby nie przerywać.

- Tak więc Jake - mówił Cooper, uśmiechając się do Erica - uparcie twierdził, że pralka babci działa za wolno, i zapowiedział twojemu tacie, że kiedy babcia z dziadkiem pójda na kolację, powinni ją naprawić.

- Ericu, nie słuchaj go. - Jake szturchnął Coopera przyjacielsko. - On zawsze koloryzuje.

- Nie wierz w żadne jego słowo. - Sam rzucił Jake'owi piwo.

- No i co się stało? - Wzrok Erica utkwiony był w Cooperze.

- Twój tata i Jake rozmontowali pralkę i złożyli z powrotem przed powrotem dziadków.

- Czyli udało się? - spytał Eric. - Naprawili ją?

- Oo, tak, świetnie naprawili - śmiał się Sam.

- To była winą Maca - wtrącił Jake, pociągając duży łyk. - Za bardzo naoliwił tryby.

- Jasne - przytaknął szyderczo Cooper. Następnie odwrócił się do Erica, kontynuując opowieść. - Następnego ranka babcia zabrała się do prania...

Sam wybuchnął śmiechem na to wspomnienie.

- Pralka wirowała tak szybko, że odsunęła się od ściany i wyszła na środek kuchni, wyciągając przy tym węża ze ściany. Woda zalała wszystko jak wodospad.

Eric roześmiał się, przesuwając wzrokiem z Coopera na Jake'a i Sama, i z powrotem.

- Babcia krzyczy, dziadek wrzeszczy, woda zalewa całą podłogę, a pies próbuje wpłynąć do salonu - dodał, śmiejąc się Cooper. - Sam i ja patrzyliśmy na to przedstawienie, ale twój tata i Jake byli już w połowie drogi nad jezioro, żeby nie być zbyt blisko.

- Mieli kłopoty? - zapytał Eric.

Donna uśmiechnęła się i podeszła do nich.

- Musieli wysprzątać dom od góry do dołu i pomóc dziadkowi zainstalować nową pralkę, którą dostarczono następnego dnia. - Pocałowała syna w czoło i pociągnęła z jego puszkę łyk napoju. - Przez resztę lata mieli się zajmować praniem.

- Cześć, Donno. - Sam podszedł i przytulił ją.

- Donno - Cooper pocałował ją na powitanie - z dnia na dzień jesteś coraz piękniejsza.

- Jasne - zaśmiała się do obu mężczyzn, po czym odwróciła się ostrożnie do Jake'a.

Skinał jej głowę, a ona zmusiła się, żeby do niego nie podejść. Niełatwe zadanie.

- No i co robicie?

- My opowiadamy niesamowite historyjki, a Eric pomaga Jake'owi w pracy nad motorem - powiedział Cooper.

- Zupełnie jak za dawnych czasów - zadumał się Sam.

- Jake i Mac zawsze nad czymś razem pracowali.

- Mój tata był dobry w te klocki, prawda? - Spojrzenie Erica wędrowało pomiędzy trójką mężczyzn.

- Cholernie dobry - przyznał Jake. - I mądry. Miał studiować w Massachusetts Institute of Technology... - Głos mu się załamał i trójka Lonerganów zjednoczyła się w bolesnym wspomnieniu.

- Był bardzo mądry, kochanie. - Donna przerwała pełną napięcia ciszę. - Zupełnie tak jak ty.

Eric zmarszczył brwi.

- Tak, ale ja nie chcę iść na studia.

- Wiem, ale pójdiesz - powiedziała Donna, wkraczając na znajomy temat.

- Oczywiście, że tak - poparł ją Jake.

- Dzieciaku, musisz się uczyć - dodał Cooper.

- Twój tata na pewno by tego chciał - podkreślił Sam.

Twarz Erica skamieniała. Rzucił każdemu z nich buntownicze spojrzenie.

- To zależy ode mnie. Jeżeli nie będę chciał, to nie muszę.

- Ericu...

- Nie, mamó. Mówiłem ci, że nie muszę studiować. Mogę robić inne rzeczy.

- Porozmawiamy później. - Donna czuła na sobie wzrok wszystkich Lonerganów.

Już od dzieciństwa Erica zaplanowała dla niego wyższe wykształcenie i odkładała na ten cel pieniądze. Oczywiście nie było tego dużo, ale zamierzała wziąć pożyczkę. Zrobi wszystko, co będzie trzeba. Jej syn pójdzie na stu-

dia. Ona nie poszła, bo nie miała takiej szansy. Ale Eric musi skorzystać ze wszystkich możliwości, jakie będzie w stanie mu dać.

Niestety Eric zbyt dobrze zdawał sobie sprawę z tego, jak mało mieli pieniędzy, i w zeszłym roku postanowił, że nie będzie studiować. Był to teraz częsty temat ich dyskusji, a ona miała szczerzy zamiar wygrać tę wojnę. Nie chciała jednak angażować w to Lonerganów.

- Jake nie poszedł na studia i jest w porządku - znalazł nowy argument Eric.

- Nie bierz ze mnie przykładu - mruknął pośepnie Jake.

- Nie będziemy o tym teraz rozmawiać. - Donna rzuciła synowi spojrzenie, po którym zazwyczaj uspokajał się i wycofywał.

- Donno - odezwał się nagle Sam. - Maggie przygotowuje jakieś tony pieczonego kurczaka. Chcecie zostać z Erikiem na kolację?

Otworzyła usta, aby powiedzieć nie, ale Eric zwrócił ku niej w niemym błaganiu swoje wielkie ciemne oczy. Potrzebuje tego, przypomniała sobie. A poza tym skoro Lonerganowie byli po jej stronie w sprawie studiów, może dobrze się stanie, jeżeli Eric spędzi z nimi więcej czasu.

Wiedziała jednak dobrze, że nie był to prawdziwy powód, dla którego tak samo jak Eric pragnęła zostać. Nie mogła powiedzieć tego na głos, ale samej siebie nie musiała okłamywać. Chciała zostać, bo przez ostatnie dni tęskniła za Jakiem. Nie ufała sobie jednak na tyle, by być

z nim sam na sam, więc mogła co najwyżej zjeść kolację z całą rodziną.

- Oczywiście, Sam, bardzo chętnie, dziękujemy. Zadzwoń tylko do mamy i ją zawiadomię.

- Ja zadzwonię do babci. - Eric uściskał ją dziko i pośpieszył w kierunku domu.

Jake widział, że Donna jest w szoku, ale nie było mu przykro, że została wmanewrowana w kolację. Już samo patrzenie na nią było wspaniałe, chociaż marzył o tym, by jej dotykać.

Najpierw jednak musiał jej coś powiedzieć. On, Sam i Cooper już to omówili. Oderwał wzrok od Donny i spojrzał na kuzynów, otrzymując ich milczącą zgodę.

- Donno, jeżeli chodzi o studia Erica...

Zesztywniała.

- Nie musicie się martwić o wykształcenie Erica. Doceniam, że stanęliście po mojej stronie, pomagając mi przekonać go do studiów, ale to jest mój syn i ja się tym zajmę.

- Jest też synem Maca - powiedział cicho Sam, a ona skarciła go spojrzeniem.

- A my w pewnym sensie reprezentujemy Maca - dodał Cooper.

- No cóż. Źle to sobie wymyśliliście. To ja podejmuję decyzje dotyczące mojego syna. Sama. Tak jak zawsze to robiłam.

Jake podszedł do niej i zauważył, że cofnęła się o krok. Nie spodobało mu się to.

- Już nie jesteś sama - powiedział miękko.

Westchnęła i starała się zachować cierpliwość.

- Doceniam, że chcecie być blisko Erica. Przyznam nawet, że dobrze mu to robi. Potrzebował mężczyzn w swoim życiu. I potrzebował dowiedzieć się więcej o swoim ojcu.

Jake widział, że to wyznanie dużo ją kosztuje.

- Ale nie jesteście mu winni nic ponad uczucie.

- Mylisz się. - Jake położył ręce na jej ramionach. Wyczuł jej napięcie, ale nie wyzwoliła się spod jego dotyku.
- Jesteśmy mu winni to, co należałoby do Maca.

- Co masz na myśli? - Jake czuł bijącą od niej zimną siłę i gotowość do walki. Czy jest coś bardziej dzikiego niż matka osłaniająca swoje młode?

Cooper oderwał się od warsztatu i stanął obok Jake'a. Sam zajął miejsce po jego drugiej stronie. Teraz wszyscy trzej Lonerganowie stali naprzeciw Donny jak jeden mąż.

- Tamtego ostatniego lata - zaczął Jake, nie odrywając spojrzenia od Donny - Mac i ja wymyśliliśmy taki...
- przerwał i wzruszył ramionami. - Nie wdawajmy się w szczegóły...

- Dzięki - mruknął Cooper. - Nie cierpię, kiedy rozwodzisz się nad częściami silników.

- Cicho - uciszył go Sam i szturchnął Jake'a, żeby mówił dalej.

- Wymyśliliśmy takie małe ustrojstwo do silników
- ciągnął Jake, wspominając godziny, które spędzili razem z Makiem w tej stodole. - Podnosi ono wydajność i pomaga przejechać więcej na jednym baku. Z pomocą

dziadka i chłopaków sprzedaliśmy ten pomysł wielkim fabrykom i...

- On chce powiedzieć - wtrącił Sam - że dochody z tego małego „czegoś” to całkiem poważne pieniądze.

- No i co w związku z tym? - szepnęła Donna.

- No i... - Jake zacisnął dłonie na jej ramionach, natarczywie wpatrując się w jej oczy - każdy z nas dostaje ćwierć sumy. Co roku oddawaliśmy część Maca różnym organizacjom charytatywnym. Teraz, kiedy wiemy o Ericu, chcemy, żeby to on ją dostawał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Donna z niedowierzaniem patrzyła na rozognione spojrzenia Jake'a, Sama i Coopera. Boże, jak to możliwe, że zaledwie pięć minut temu żywiła do nich same ciepłe uczucia? Obudził się w niej gniew. Cała trójka stała nieruchomo, gapiąc się na nią w oczekiwaniu na jej reakcję.

Nie zawiedzie ich oczekiwań.

- Ach, tak - zaczęła, cedząc przez zaciśnięte zęby. - Czy dobrze rozumiem? Co roku oddajecie część Maca na jakieś cele dobroczynne?

- Tak - odpowiedział Jake z uśmiechem.

- I teraz to my mamy być waszym nowym celem dobroczynnym?

Uśmiech Jake'a znikł.

Trzej Lonerganowie wyglądali, jakby ktoś uderzył ich w głowę. Trzy pary oczu rozszerzyły się, trzy szczęki opadły nisko, a na wszystkich trzech twarzach pojawił się niepokój.

- Nic takiego nie powiedziałem - wybuchnął Jake.

- Powiedziałeś. - Donna wysunęła się spod jego ramion, aby ciepło jego dłoni nie mąciło jej umysłu.

Drżała z wściekłości. Była zażenowana, zła i... odczuwała zbyt wiele emocji, żeby móc od razu je wszystkie zidentyfikować.

- Cholera, Jake. - Sam popchnął kuzyna, a ten cofnął się o parę kroków.

- Wiedziałem, że to schrzanisz. - Cooper wyciągnął oskarżycielsko palec i spojrzał na Jake'a z pogardą.

- Ale co ja takiego powiedziałem? - Jake nie zwracał uwagi na kuzynów i patrzył na Donnę. - Co, do diabła, złego powiedziałem?

- Zdaje się, że wszystko - burknął Sam i rzucił Cooperowi wściekłe spojrzenie. - Mówiłem ci, że nie powinniśmy pozwolić, żeby to on o tym powiedział.

- Nie pomagasz - zatrzymał go Cooper.

- Cały czas nie wiem, co źle powiedziałem - skarżył się Jake, opuszczając bezradnie ręce.

- Pozwól więc, że ci to wyjaśnię - syknęła Donna, podchodząc do niego i dźgając palcem wskazującym jego klatkę piersiową przy każdym słowie. - Nie jesteśmy waszym najnowszym celem dobroczynnym. Mój syn i ja nie potrzebujemy jałmużny od Lonerganów. Dobrze sobie radzimy. Zawsze tak było i tak będzie.

- Przecież nie powiedziałem, że jesteście celem dobroczynnym. Ja tylko...

- Nie musisz tego powtarzać. - Donna walczyła z chęcią wymierzenia mu kopniaka.

- Nie tak to sobie zaplanowaliśmy - wtrącił Cooper.

- Co ty powiesz? - Jake niemal krzyknął.

- Cóż, ja i Cooper teraz sobie stąd pójdziemy. - Sam

obszedł Jake'a i pociągnął drugiego kuzyna do wyjścia. - Donno, ty i Jake musicie się uspokoić. Zobaczymy się z wami w domu, jak już będzie po bitwie.

Nawet nie zaszczyciła ich spojrzeniem. Nie dotarło do niej, co powiedział Sam. Jej wzrok utkwiony był w Jake'u.

- Jake, jak mogłeś tak powiedzieć? - Przełknęła ślinę, starając się rozluźnić zaciśnięte gardło. - Jak mogłeś nawet pomyśleć, że się na *to* zgodzę?

- Cholera, Donno - nie ustępował. - Ty specjalnie wszystko przekręcasz.

- Och, chyba przedstawiłeś to wystarczająco jasno.

- Najwyraźniej nie - mruknął.

Znowu uderzyła go palcem.

- Ależ tak. Teraz, kiedy wiesz o Ericu, potraktujesz go jako swój prywatny ceł dobroczynny. Otóż nie, dziękuję. Mój syn nie tego od was potrzebuje.

- To nie jest jałmużna - wykrzyknął Jake. - To jest uczciwe i dobre wyjście z sytuacji.

- Czy myślicie, że Eric przyszedł was poznać, bo chciał pieniędzy? - zapytała Donna, wciąż wściekła. Kolejna straszna myśl przebiegła jej przez głowę. - Dobry Boże, czy myślisz, że dlatego pozwoliłam mu tu przyjść?

Donna starała się odzyskać kontrolę nad galopującymi uczuciami. Gotowała się ze złości, a jej ciało - a niech to wszyscy diabli! - wciąż tęskniło za dotykiem Jake'a.

To tylko pogarszało sytuację.

Jake zaczerpnął powietrza i powoli je wypuścił. Chwilę później znów znalazł się przed nią, wyciągając do niej

ramiona. Donna musiała walczyć o zachowanie bezpiecznej odległości.

- Przesadzasz - powiedział.

- Nie sędzę.

- Zaufaj mi.

Parsknęła.

- Dobrze - sapnął. - No to przynajmniej posłuchaj.

Utkwiła w nim zmrużone oczy.

- Słucham.

Jake włożył ręce do kieszeni dżinsów i odwzajemnił jej spojrzenie.

- Oczywiście, że nie dlatego pozwoliłaś Ericowi przychodzić do nas, że liczyłaś na wydobyć od nas pieniądze. Zresztą skąd miałabyś wiedzieć, czy cokolwiek mamy? - Przerwał na chwilę i wzruszył ramionami. - Poza Cooperem oczywiście. Wielki pisarz śpi na kasie.

- Jake...

- Nie o to chodzi. Omówiliśmy to we trzech, kiedy dowiedzieliśmy się o Ericu. Gdyby Mac żył, dostawałby jedną czwartą tantiem za nasz wynalazek.

Przytaknęła, ignorując małe ukłucie bólu na wspomnienie Maca.

- Cóż, Maca nie ma, ale jest jego syn.

- Tak, ale..

- Miałaś słuchać. .

- No dobrze.

- Mac by tego pragnął. - Mówił tak cicho, że z trudem go słyszała. - Chciałby, żeby jego syn mógł dostać część tych pieniędzy. Wiesz o tym, prawda?

- Taaak... - Oczywiście, że Mac chciałby, żeby Eric dostał jego część. Ale nie ułatwiało to przyjęcia tych pieniędzy.

- Chcemy więc, aby Eric został prawnie naszym partnerem. Ze względu na Maca.

Całe jej ciało zwiotczało niczym balon, z którego nagle uszło powietrze. Nie mogła się za bardzo kłócić z taką logiką. Przez moment zaczęła się zastanawiać, o ile łatwiejsze byłoby jej życie, gdyby po prostu przyjęła to, co Lonerganowie chcieli jej i Ericowi ofiarować.

Odsunęła tę myśl na bok.

- Rozumiem - powiedziała wreszcie głosem pozbawionym wściekłości, którą odczuwała jeszcze przed chwilą. Podniosła spojrzenie na Jake'a. - Ale jak mogę to przyjąć, skoro przez ostatnie czternaście lat uczyłam Erica, że ludzie powinni stać na swoich własnych dwóch nogach?

Uśmiechnął się i podszedł do niej powoli, jakby nie był pewien, jak zareaguje.

- Jasne. Ale on wciąż będzie musiał stać na swoich własnych nogach. Te pieniądze będą po prostu poduszka, gdyby zdarzyło mu się upaść.

- Sama nie wiem...

- Przynajmniej - ciągnął dalej szybko - pozwól nam wpłacić je dla niego na jakiś fundusz. Będą tam na studia lub na coś innego, czego kiedyś będzie potrzebował.

Myśl o tym, że będzie mogła posłać Erica na dobre studia, nie martwiąc się o to, jak za nie zapłaci, była zbyt kusząca, żeby się jej nie poddać. A jeżeli pieniądze zo-

staną umieszczone na koncie dla jej syna, ona nie będzie z nich korzystać. Nie ona będzie brać pieniądze od Lonerganów.

Poczuła ulgę i kiwnęła głową.

- No dobrze. Zgadzam się na fundusz edukacyjny pod jednym warunkiem.

Zauważyła drgnienie kącika jego ust.

- Twarda z ciebie kobieta.

- Owszem - zaśmiała się. - Te pieniądze mają być przeznaczone wyłącznie na studia. A jeżeli coś zostanie, niech pójdzie na fundusz, do którego Eric będzie miał dostęp po ukończeniu trzydziestu lat.

Jake uniósł brwi, ale przytaknął.

- Dobrze, tak zrobimy. Ale, Donno... Posłuchaj, wiem, że robisz to, co uważasz dla niego za najlepsze, jednak musisz być ostrożna z Erikiem.

- Co masz na myśli?

Wyciągnął ręce z kieszeni i wziął ją za ramiona w stanowczym, lecz łagodnym uścisku.

- Tylko się znowu nie zdenerwuj. Dam ci jedynie pewną radę. Możesz z niej skorzystać albo nie, jak chcesz.

Starła się nie zwracać uwagi na ciepło rozlewające się po całym ciele od jego rąk. Skupiła uwagę na jego oczach. Ciemnych. Głębokich. Przełknęła ślinę.

- Słucham.

- Chodzi o to... Wiesz, kiedy umarł mój ojciec, mama starała się trzymać mnie pod kluczem, żebym był bezpieczny. Osiągnęła coś wręcz przeciwnego. Buntowałem się jak tylko mogłem przeciwko wszystkiemu. - Wzru-

szył ramionami. - Żeby zacząć własne życie, zaraz po liceum zaciągnąłem się nawet do piechoty morskiej.

- Pamiętam.

- W każdym razie chcę ci powiedzieć, że gdyby mama nie starała się tak bardzo mnie uwięzić, nie musiałbym tak mocno walczyć o swoją wolność. - Kciukami masował kojąco jej ramiona. - Nie chciałbym, żeby coś takiego przydarzyło się Ericowi. I tobie.

Jego ciche i łagodne słowa zabrzmiały bardzo wiarygodnie i Donna nie mogła ich zignorować. Eric dorastał i buntował się przeciwko różnym regułom, starając się być sobą. Donna ostatnie czternaście lat spędziła, chroniąc go. Wiedziała, że testowanie granic jest naturalne, jednak niełatwo jej będzie się wycofywać.

- Jake, wiem, że masz dobre intencje - powiedziała, nie chcąc, aby wiedział, jak bardzo jego słowa ją uderzyły. - Ale nie jesteś ojcem Erica.

- Niewiele brakowało - przypomniał.

- Nigdy nie zapomnisz o tamtej nocy, prawda? - szepnęła.

- Nie. - Zsunął jedną rękę z ramienia ku jej piersi i nakrył ją dłonią, pieszcząc delikatnie. - Chociaż muszę przyznać, że noc, którą ostatnio spędziliśmy razem, jest jeszcze lepszym wspomnieniem... - Przerwał na chwilę. - Tęskniłem za tobą przez ostatnie dni.

- Jake... - Zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, jego dłoń zdążyła wślizgnąć się pod tkaninę jej bluzki i biustonosza. - Och, Jake - westchnęła. - Nie powinienes tego robić.

- Nie, powinienem zrobić o wiele więcej - powiedział, pochylając głowę i składając na jej ustach obiecujący pocałunek.

- Grasz nie fair - wyszeptała słabo.

- Nie zaprzeczę.

Zaśmiała się i westchnęła, kiedy palcami zaczął drażnić jej sutek. Nigdy nie zaznała takiego podniecenia. Nawet nie wiedziała, że potrafi tak pragnąć. Pochyliła się ku niemu i oblizała wargi.

- Miałam już nigdy się z tobą nie spotykać - przyznała. - A przynajmniej nie sam na sam.

- Taak, domyślałem się tego - powiedział Jake, całując jej czoło, zamknięte oczy i czubek nosa.

- Muszę się jeszcze z tobą spotkać - westchnęła.

- Miałem taką nadzieję. - Pochylił się i pocałował ją w usta.

Zadrżała.

- Jake, to nie jest dobry pomysł.

- Donno, oboje jesteśmy dorośli i nie mamy zobowiązań. - Jego oddech omiótł jej twarz. - Pragniemy się nawzajem. Dlaczego nie mielibyśmy się temu poddać?

- Przedstawiasz to tak rozsądnie.

Jake mrugnął do niej.

- Cóż, robię postępy - powiedział, uśmiechając się. - Kilka dni temu byłem panem Niebezpiecznym, teraz jestem rozsądny.

Zachichotała i przytuliła się do jego szerokiej piersi.

- Jak to jest, że to wszystko tak się płacze i jest takie

zagmatwane? Przysięgam, Jake, czasami nie wiem, co mam myśleć. Albo czuć.

- Sama wszystko komplikujesz. Zawsze tak było.

- Nie, Jake. Ja po prostu przewiduję konsekwencje pewnych rzeczy. Ty nigdy nie wybiegałeś myślą poza obecną chwilę.

- Ludzie się zmieniają.

Nie tak dawno matka powiedziała jej to samo, a ona udzieliła tej samej odpowiedzi.

- Nie, to nieprawda.

- Donno...

Czuła pod swoimi dłońmi mocne bicie jego serca. Ten rytm pomógł jej odzyskać równowagę.

- Jake, to nie ma znaczenia. Teraz, w tej chwili, nic innego nie ma znaczenia, tylko dotyk twoich dłoni. Smak twoich ust. Później będę się martwić o konsekwencje - powiedziała miękko, wspinając się na palce po pocałunek.

Przyciągnął ją bliżej i przywarł do jej ust z namiętnością, która pozbawiła ją tchu. Cały świat gdzieś się rozplynął.

Przerwało im wołanie Erica dobiegające z domu:

- Mamo! Babcia mówi, że umówiła się z Mikiem, więc mamy zostać i dobrze się bawić!

Donna odskoczyła od Jake'a i zaśmiała się.

Jake spojrział w dół na zarumienioną kobietę, którą trzymał w ramionach, i na jej usta nabrzmiałe pożądaniem.

- Czy już się dobrze bawisz?

- Och, tak! - Do diabła z konsekwencjami, pomyślała, nie mogąc się doczekać kolejnego pocałunku.

W ciągu następnego tygodnia Jake i Donna znaleźli się niemal na krawędzi szaleństwa. Ani przez moment nie udało im się być sam na sam. Ich rodziny ciągle wchodziły im w drogę. Lonerganowie, Eric, mama Donny - zawsze był przy nich ktoś jeszcze. Kradzione po kryjomu pocałunki wydawały się przez to jeszcze słodsze, a Jake w każdej wolnej chwili wyobrażał sobie, co będą robili, gdy tylko nadarzy się okazja.

Spędzał za to wiele czasu z Erikiem i im lepiej go poznawał, tym bardziej dostrzegał w nim odrębną osobę, a nie jedynie odbicie Maca. To jednak umacniało jego poczucie winy i żalu. Każda minuta spędzona z Erikiem uświadamiała Jake'owi, co ominęło jego kuzyna.

Śmierć w wieku szesnastu lat zabrała Macowi nie tylko jego własne życie, ale również okazję obserwowania, jak jego syn wyrasta na wspaniałego człowieka.

Eric ostrożnie czyścił narzędzia Jake'a, który usiłował sobie wmówić, że Mac cieszyłby się, że spędzają razem czas. Jednak nawet to nie wystarczało, by całkowicie wymazać ból duszy, z którym żył przez tyle lat.

- Mama mówiła, że byłeś w piechocie morskiej.
 - Co? - Jake oderwał się od swoich rozmyślań. - Ach, tak. Sześć lat.
 - Podobało ci się?
 - Tak. - Dało mu to, czego w owym czasie najbardziej potrzebował. Poczucie przynależności. Zadanie do wykonania. Miejsce, gdzie mógł pochować swój ból.
 - Myślisz, że mógłbym być dobrym żołnierzem?
- Jake patrzył na szeroko otwarte oczy i zbyt długą czu-

pryję chłopca opadającą na czoło. Wyglądał niewiarygodnie młodo.

- Pewnie, że tak - odpowiedział. - Ale jeżeli pójdziesz tam po studiach, będziesz mógł zostać oficerem.

Eric w jednej chwili spochmurniał.

- Nie wybieram się na studia.

- Twój tata na pewno by tego chciał.

- Ale go tu nie ma, prawda?

- Nie ma. - Po raz kolejny Jake uświadomił sobie, co Mac utracił. Ileż jeszcze będzie płacił za ten jeden letni dzień? Jak długo będzie musiał żyć z poczuciem winy wyskakującym przy każdej myśli o Macu?

Eric odłożył narzędzia i odwrócił się twarzą do Jake'a.

- Mój tata był mądry, prawda?

- Tak.

Chłopiec pokiwał głową.

- Mama zawsze o tym mówi. Zawsze podkreśla, że mój tata był naprawdę mądry. Mądrzejszy niż większość ludzi.

- To prawda - przyznał miękko Jake.

- Ale ja taki nie jestem. - Eric wsunął obie ręce do kieszeni i kołysał się w przód i w tył na piętach. - Nie jestem taki mądry jak on i nigdy nie będę, więc nie chcę iść na studia.

Jake patrzył na chłopca i widział ból malujący się na jego twarzy. Wyglądało na to, że Mac odcisnął piętno na nich wszystkich. Nawet na Ericu, który nigdy go nie poznał.

- Nie musisz być taki jak twój tata - powiedział cicho Jake. - Gdyby on tu był, powiedziałałby ci, żebyś był sobą.

- Tak myślisz?

- Oczywiście.

- No więc nie chcę iść na studia.

Jake westchnął. Dyskusowanie z dzieckiem było jak chodzenie w kółko. Bez początku i końca.

- Może jeszcze zmienisz zdanie.

- Mama ma taką nadzieję. Ale nie zmienię.

- Ericu, masz mnóstwo czasu na podjęcie tej decyzji.

- Ty nie poszedłeś - powiedział chłopiec wyzywająco.

- Nie.

- No i wyrosłeś na ludzi.

- Tak, ale było mi ciężiej, niż mogło być. I wielu rzeczy żałuję.

- Na przykład czego?

Jake skrzyżował ramiona na piersi, starając się zyskać na czasie. Do diabła, był chyba ostatnią osobą, która powinna rozmawiać z dzieckiem o poważnych życiowych wyborach. To Sam powinien się tym zająć. Albo Cooper. Ale kiedy spojrział Ericowi w oczy, zrozumiał, że się nie wywinie.

- Na przykład nie miałem czasu na normalne życie nastolatka. Na chodzenie do szkoły razem z innymi. - Wzruszył ramionami. - Ericu, nie warto obierać trudniejszej ścieżki. W dzisiejszych czasach każdy potrzebuje studiów.

- Daliście mamie pieniądze, żebym poszedł na studia, prawda?

To było oskarżenie, a nie pytanie.

- To są pieniądze, które należałyby do Maca. Teraz są twoje.

- Nie chcę ich. - Eric wyprostował się i podniósł wyzywająco brodę. - Już wcześniej postanowiłem, że nie pójdę na studia, a gdybyśmy nie mogli sobie na to pozwolić, może mama łatwiej by odpuściła.

Jake parsknął.

- Nie łudź się. Twoja mama nie należy do osób, które „odpuszczają”.

- Nie jestem taki jak mój tata. On lubił szkołę, a ja nie jestem taki mądry.

- Nie wiesz tego.

- Wiem. Ale nie chcę iść na studia tylko po to, żeby stamtąd wylecieć.

- A czy grozi ci wylanie z liceum? - zapytał Jake, starając się w ten sposób uspokoić nieco chłopca.

-Nie, ale...

- No to dlaczego myślisz, że wyleciałbyś ze studiów?

Jęknął.

. - Po prostu nie chcę, żebyście to wy decydowali, co mam zrobić ze swoim życiem.

Jake oderwał się od stołu i zrobił krok w kierunku chłopca.

- My też tego nie chcemy - powiedział. - Staramy się tylko dać ci szansę samodzielnego wyboru. Zrobić to, czego chciałby Mac.

- Mój ojciec nie żyje. - Eric odgarnął włosy z oczu i Jake zauważył błyszczące w nich łzy. - A ja nie jestem nim.

- Do diabła, Ericu, nikt tak nie myśli. Chcemy tylko...

- Nie jestem taki mądry jak on. Nie mogę być tym, kim wy byście chcieli.

Zanim Jake zdążył coś powiedzieć, Eric przebiegł obok niego, chwycił swój rower i popędził drogą w kierunku szosy.

- Świetnie - mruknął sucho. Naprawdę świetnie sobie radził tutaj w Coleville. Nie tylko wdał się w romans z byłą dziewczyną Maca, ale udało mu się też zrazić do siebie jego syna.

Prawdopodobnie byłoby lepiej dla wszystkich zainteresowanych, pomyślał, gdyby nigdy nie wrócił do domu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy podjechał motocykl Jake'a, Donna poczuła, że przyspiesza jej puls. Odchyliła brzeg białych koronkowych firanek, wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak mężczyzna zeskoczył na ziemię, zdjął kask i położył go na czarnym skórzanym siedzeniu. Ściągnął okulary słoneczne, które nosił nawet wieczorem, zaczepił je o kieszeń czarnej koszulki i ruszył w kierunku domu.

- Och, Boże. - Donna nakazała sobie zachować spokój. Nie przyjechał przecież na randkę, ale dlatego, że zadzwoniła po niego po powrocie Erica do domu. Jej syn był zły i nie chciał jej powiedzieć, co go dręczy.

Kiedy tylko Eric poszedł znowu nocować do domu Jasona, zadzwoniła do Jake'a. Denerwowało ją, że potrzebuje pomocy, aby się dowiedzieć, co się dzieje z jej własnym dzieckiem, ale któż miał to wiedzieć, jak nie osoba, która spędziła z nim większość dnia? Przyjazd zajął Jake'owi niecały kwadrans. Długimi krokami przemierzył ukwieconą ścieżkę i po kilku sekundach już dzwonił do drzwi.

Otworzyła je i przez długą chwilę stała, patrząc na niego. Prawdopodobnie nie był to dobry pomysł, żeby

tu przychodził, kiedy jest sama. Jej mama była na kolejnej randce, Eric u przyjaciela... Nikt nie stłumi palących się już w niej wewnętrznych płomieni.

- Czy mogę wejść? - zapytał wreszcie.

- Ach, tak, przepraszam. Jasne, Jake, wejdz. - Wpuściła go i odetchnęła głęboko, kiedy przeszedł koło niej, kierując się w stronę salonu. Jego zapach wypełnił jej nozdrza, odsuwając gdzieś racjonalne myślenie.

Zamknęła drzwi i oparła się o nie.

- Gdzie jest twoja mama?

- Na randce.

Uśmiechnął się.

- Naprawdę? To dobrze. - Rozejrzał się wokół. -

A Eric?

- U Jasona.

- W takim razie cieszę się, że zadzwoniłaś - oświadczył, podchodząc bliżej.

Dotknął jej, a ona poczuła przebiegający po plecach dreszcz oczekiwania. Mężnie walczyła o utrzymanie kontroli.

- Nie dzwoniłam po to, żebyśmy... - machnęła ręką.

- No wiesz.

- Rozumiem - powiedział, głaszcząc jej ramię długimi, powolnymi i zmysłowymi ruchami. - A więc dlaczego?

- Muszę wiedzieć, co dręczy Erica - wyrzuciła z siebie.

- Myślę, że to idea studiów go przeraża.

- Przecież jest dopiero w drugiej klasie liceum.

- Wygląda na to, że tak jak jego matka wybiega myślą w przyszłość.

Westchnęła i oparła głowę o znajdujące się za nią drzwi.

- Nie chcę, żeby się bał. Chciałabym, żeby był pod-
ekscytowany na myśl, że może iść do każdej szkoły, do
jakiej tylko zechce.

- Boi się porażki - powiedział jej Jake.

- Ale dlaczego? Jest inteligentny.

- To prawdopodobnie nasza wina - przyznał, przycią-
gając ją do siebie i obejmując. - Opowiadaliśmy mu, ja-
ki Mac był mądry, i myślę, że Eric czuje teraz presję, że
powinien być taki jak ojciec.

- O matko. - Donna zaplotła ręce wokół pasa Jake'a
i położyła głowę na jego piersi. Miarowe bicie jego serca
uspokoilo ją w takim samym stopniu, w jakim jego do-
tyk działał podniecająco na każdą komórkę jej ciała.

Pogłaskał jej plecy wielkimi, silnymi dłońmi, a ona
zamknęła oczy, poddając się odczuciom.

- Po prostu chciałabym, żeby był szczęśliwy.

- On wie o tym - zapewnił ją Jake, zniżając głos do
przenikającego ją szeptu. - Jest po prostu zagubiony
i... do diabła, Donno, on ma czternaście lat. To zawsze
trudny wiek dla chłopaka. Będzie dobrze.

Tak, wiedziała o tym. Jednak jej matczyne radar budził
się za każdym razem, kiedy czuła, że coś jest nie tak.

- Dzięki - szepnęła, odsuwając głowę i patrząc na nie-
go. Spojrzała mu w oczy, na usta, i znowu w oczy. - Chy-
ba potrzebowałam to usłyszeć.

- Cieszę się, że mogłem pomóc. - Lekki uśmiech wy-
krzywił mu usta, a ręce poruszyły się w dół jej pleców

i uchwyciły mocno. - Czy jest coś jeszcze, co mógłbym powiedzieć... albo zrobić?

Naprawdę nie powinna.

Doskonale wiedziała, że kolejna noc spędzona z Jakim doleje jedynie oliwy do już i tak niewiarygodnie silnego ognia. Ale kiedy jego dłonie spoczywały na jej ciele, po prostu nie mogła go odprawić. Potrzebowała znów poczuć go w sobie. Potrzebowała zatracić się, choćby tylko na parę godzin.

- Jest parę takich rzeczy - powiedziała, wspinając się na palce, aby dotknąć ustami jego warg.

Jeden pocałunek. Dwa. Trzy. Szybkie przesunięcie językiem po jego wargach. Jake przycisnął ją do siebie tak mocno, że zabrakło jej powietrza.

- Tęskniłem za tobą - wyszeptał, całując ją namiętnie.

Donna poddała się pożodze szalejącej w jej ciele. Każdy centymetr jej skóry płonął. Wielkie dłonie Jake'a głaśkały i ugniatały jej ciało. Nawet przez tkaninę dżinsów czuła gorące odciski jego palców.

Wziął jej usta z dziką determinacją. Ich języki splotły się w tańcu żądz tak dojrzałej i tak pierwotnej, że nie myślała o niczym innym, tylko o jego następnej pieszczocie, kolejnym dotyku.

- Gdzie twój pokój? - wysapał. - Szybko.

Wyplątała się z jego objęć, chwyciła go za rękę i pociągnęła przez schludny salon do długiego korytarza i na schody.

Kiedy dotarli na miejsce, zamknął z impetem drzwi, odwrócił się ku niej i złapał za brzeg koszulki.

- Masz na sobie zbyt wiele ubrań.
- Racja. - Pomogła mu z zatraskami i zamkami.

Zdjęła z siebie wszystko oprócz biustonosza i koronkowych majteczek, a Jake zrzucił buty i zajął się własnymi ubraniami. Po chwili był już zupełnie nagi. Wyciągnął po nią dłonie.

Kiedy patrzyła, jak podchodzi, zapało jej dech w piersiach. Jego ciało, takie twarde i umięśnione, takie gotowe. Już pragnęła go tak, jak jeszcze niczego w życiu, a jej pożądanie cały czas wzrastało.

Podniósł ją i położył na materacu. Wtedy przestała myśleć i skoncentrowała się na odczuciach. Chciała go objąć, ale zrobił unik i pochylił się, aby złożyć pocałunek na jej płaskim brzuchu. Donna zadrżała i wyszeptała jego imię.

Światło księżycy wpadało przez okna jej pokoju z dzieciństwa, tworząc srebrne plamy na łóżku i na wypolerowanej drewnianej podłodze. Świeciło też w oczach Jake'a, błyszczało na jego opalonej skórze. W powietrzu roztaczał się słodki zapach kwitnących jaśminów.

Zerknął na nią i powoli przesunął się w dół jej ciała, ustami i językiem znacząc na jej skórze linię ognia. Potem ukląkł między jej nogami, wsunął dłonie pod pośladki i podniósł ją do góry. Zaciśnęła palce na tkaninie leżącej pod nią narzuty, patrząc, jak pochyła ku niej głowę.

Nie mogła oderwać wzroku. Nie mogła na niego nie patrzeć.

-Jake...

Uśmiechnął się, ale nie przerywał, dopóki nie wymówiła jego imienia na w pół stłumionym okrzykiem.

To jednak nie był koniec. Za chwilę poczuła na sobie ciężar potężnego ciała Jake'a.

Kochała go.

Popatrzyła w jego ciemne oczy i знаła już prostą prawdę. Zawsze kochała Jake'a Lonergana.

Starala się go nie kochać.

Maca też kochała, ale inaczej.

Bo to Jake przemawiał do jej duszy.

To Jake potrafił ożywić ją jednym zaledwie dotknięciem.

To Jake doprowadzał ją w jednej chwili do śmiechu, a w następnej do wściekłości.

- Donno? Wszystko w porządku?

- Tak - skłamała gładko, oplatając jego szyję ramionami. - Tak, w porządku.

- To dobrze - uśmiechnął się. - Bo jeszcze nie skończyliśmy.

Kiedy Jake wjechał na drogę prowadzącą do domu dziadka, do świtu brakowało niecałej godziny. Atramentowoczarne niebo jaśniało już głęboką purpurą.

On i Donna godzinami kochali się na więcej sposobów, niż mógł policzyć. Jednak nie był zmęczony - przeciwnie, czuł się bardziej ożywiony niż kiedykolwiek przedtem. To go zmartwiło.

Wyłączył silnik, żeby nikogo nie obudzić, i wtoczył motor do stodoły. Po ciemku zdjął kask i ostrożnie po-

łożył go na stole. Głowę przepełniało mu mnóstwo myśli. Nie był w stanie ich zidentyfikować. Odetchnął głęboko i starał się zignorować narastające poczucie żalu.

- Późna randka, co?

Odwrócił się i zobaczył Sama stojącego w otwartych drzwiach.

- Co tu robisz tak wcześnie?

Sam wszedł niespiesznie do stodoły i wzruszył ramionami.

- Jenny Fowler rodzi.

Jake zamrugał.

- Mała Jenny? Piegi? Warkoczyki?

Sam zaśmiał się.

- Teraz ma dwadzieścia pięć lat. Wciąż jest piegowata, ale już od dawna nie ma warkoczy.

- O matko, starzejemy się - mruknął Jake.

- Co przypomina mi o moim pytaniu - powiedział Sam. - Co taki staruszek jak ty robi, wkradając się do domu przed świtem?

Jake zeszywniał.

- Czy to twoja sprawa?

- Nie. Ale i tak pytam.

- Odczep się, Sam.

- Spokojnie, Jake. Cieszę się. - Sam podszedł do niewielkiej lodówki i wyciągnął z niej butelkę wody. Odkręcił korek, pociągnął długi łyk, zakręcił i znowu wzruszył ramionami. - Ty i Donna dobrze wyglądacie razem.

No pewnie. Tylko że to w ogóle nie ułatwiało sprawy.

- Nie jesteśmy razem.

- Ach, nie? - Sam uniósł brew w zdumieniu.

- Nie tak, jak myślisz. - Nie tak, jak on sam by chciał.

- A dlaczego nie? - spytał Sam i oparł się o stół, najwyraźniej szykując się na dłuższą pogawędkę.

- Nie musisz lecieć do jakiegoś porodu?

- To jej pierwsze dziecko. - Sam machnął ręką. - Na razie ma skurcze co piętnaście minut. Powiedziałem, żeby jechała do szpitala, bo jej mąż panikuje. Ale ja mam jeszcze mnóstwo czasu.

- Super - mruknął Jake, a głośno powiedział: - Ale ja nie mam. Jestem zmęczony. Idę spać.

- Wciąż uciekasz?

Jake'a zamurowało. Odwrócił się i spojrzał na kuzyna.

- Co to miało znaczyć?

- Wiesz, co to miało znaczyć. Piętnaście lat temu uciekłeś od tego, co czułeś do Donny, i nadal przed tym uciekasz.

- A kim ty jesteś? Prowadzisz kącik złamanych serc?

Sam zaśmiał się i niedbale przerzucił butelkę z wodą z lewej ręki do prawej i z powrotem.

- Niezupełnie. Ja tylko rozpoznaję pewne oznaki. Dużo czasu minęło, zanim zrozumiałem, że Kocham Maggie. Prawie ją straciłem, bo byłem zbyt głupi i uparty, żeby stanąć w prawdzie.

- Jakiej prawdzie?

Sam przestał się uśmiechać i odstawił butelkę z wodą na stół.

- Prawda była taka: wymyśliłem sobie, że nie zasługu-

ję na to, żeby być szczęśliwy. Miałem tak wielkie poczucie winy, że dopuściłem do tragicznej śmierci Maca, że nie zauważałem, że moje własne życie przemija.

- To nie była twoja wina.

- Twoja też nie. - Sam podszedł do Jake'a i klepnął go po ramieniu. - Do diabła, Jake, przecież to ty chciałeś po niego płynąć.

Jake przez te wszystkie lata nikomu, nie zdradził tej prostej i strasznej prawdy, a teraz usłyszał, jak wypowieda ją na głos:

- Tak, ale wiesz dlaczego? Bo nie chciałem, żeby pobił mój rekord.

Sam patrzył na niego w milczeniu, a Jake poczuł, że słowa wypływają z niego, jakby były tłumione o wiele za długo.

- Byłem tak zazdrosny o Maca, że zupełnie mnie to zaślepiło - przyznał, czując gorycz wypowiedanych słów.

- Miał wszystko. Był mądry. Mieszkał w Coleville przez cały rok. Miał oboje rodziców. No i miał Donnę.

- Jake...

- Nie. - Podniósł dłoń, żeby uciszyć kuzyna. - To głupie, ale potwornie mu zazdrościłem. A wtedy, tego ostatniego dnia... myślałem, że odbierze mi mój rekord. Jedyne, co było moje. Nie chciałem, żeby tak się stało. A kiedy tak stałem na brzegu, martwiąc się o ten idiotyczny rekord we wstrzymywaniu oddechu, Mac umierał.

- Nie wiedzieliśmy o tym. Nie mogliśmy tego zmienić.

- To chyba nie ma znaczenia - rzucił otwarcie Jake, czując gromadzące się pod powiekami łzy. Zacisnął oczy,

żeby je powstrzymać. Dopiero po chwili spojrzął na Sama. - Mac nie żyje. Spędzam czas z jego synem. Sypiam z jego dziewczyną. - Ta prawda uderzyła go właśnie dziś, kiedy wracał od Donny. - Sam, nie mogę tego zrobić Macowi. Muszę wyjechać. Dziś w nocy.

Sam jęknął.

- Daliśmy dziadkowi słowo, że zostaniemy na całe lato.

-Wiem, ale...

- Jake, czy ty naprawdę myślisz, że jesteś jedyną osobą, która boryka się z tym, co się wtedy stało? Jedynym z nas, który czuje się winny, że żyje?

-Nie, ale...

- Ucieczka od tego, co czujesz do Donny, wcale ci nie pomoże. Przecież od lat tak uciekasz i wciąż jesteś w tym samym miejscu.

Jake westchnął. Czuł się jak w jakiejś cholernej pułapce. Serce podpowiadało mu, żeby chwycić Donnę i nigdy nie pozwolić jej odejść. Jednak rozum i poczucie winy nie chciały mu na to pozwolić.

Sam klepnął go w plecy.

- Musisz pogadać z Makiem.

- Co?

- Przecież słyszałeś. Ja i Cooper tego lata rozliczyliśmy się z przeszłością. Wygląda na to, że teraz twoja kolej.

- Mac nie żyje.

- Nieprawda - powiedział miękko Sam. - On wciąż tu jest, bo żaden z nas nie pozwalał mu odejść.

Może Sam miał rację. Czy Jake nie czuł obecności Maca tutaj, na ranczu? Czy nie wydawało mu się, że

młodszy kuzyn może w każdej chwili wejść do pokoju?
Ale rozmawiać z nim?

- Nie wiem, czy potrafię.

- Powiem ci, co powiedziała mi Maggie. - Sam zniżył głos i poklepał go po ramieniu. - Nie musisz uciekać od ducha Maca. Mac cię przecież kochał. Kochał nas wszystkich. Czy naprawdę myślisz, że chciałby, żebyś przez resztę życia był nieszczęśliwy?

- Nie, nie chciałby. - Jake wyciągnął spod stołu stołek i opadł na niego. Oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. - Sam, co ja mam zrobić?

- Masz żyć, Jake. - Sam skierował się ku drzwiom. - Teraz muszę iść odebrać poród. A ty może pójdziesz nad jezioro porozmawiać z Makiem?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- A co tam u Jake'a?

Donna odwróciła gwałtownie głowę i spojrzała na matkę. Było zbyt wcześnie rano na tego typu rozmowę, ale nie przychodził jej do głowy żaden sposób na jej uniknięcie.

Catherine zawsze wstawała o świcie, a ponieważ Donna po wyjściu Jake'a nie mogła zasnąć, poszła do kuchni za zapachem kawy. Teraz pomyślała, że prawdopodobnie nie był to dobry pomysł.

Starła się wyglądać spokojnie, ale już sam dźwięk jego imienia ją rozbijał. Nerwowo zastanawiała się, czy matka mogła poznać po jej wyglądzie, co ona i Jake robili tej nocy.

- Chyba dobrze, a co?

- Och - Catherine nucąc, mieszała ciasto na ciasteczka - nic takiego. Tak się tylko zastanawiałam.

- Aha. - Donna wróciła do studiowania swojej książeczki czekowej i walczyła o zachowanie równowagi. Musiała się czymś zająć, żeby nie rozpamiętywać minionej nocy i tego, jaki Jake był dobry. Zwłasz-

cza w pobliżu matki, która była wyczulona jak radar. Nie mogła się jednak skupić na cyfrach. - Daj spokój, mamo.

- Nie zamierzam, kochanie. - Catherine ostrożnie nałożyła porcję ciasta na blachę. - Jeżeli myślisz, że nie widzisz, co się między wami dzieje, to się mylisz.

Donna westchnęła, odchyliła się na krześle, wyciągnęła przed siebie nogi i skrzyżowała je w kostkach. Założyła ręce na piersi i odrzuciła głowę do tyłu.

- A ty się mylisz, jeżeli myślisz, że będę z tobą o tym rozmawiać.

Catherine wypełniła blachę i włożyła ją do piekarnika. Włączyła minutnik i odwróciła się do córki.

- Wiesz, jacy ważni jesteście dla mnie oboje, ty i Eric, prawda?

- Taaak. - Donna nie była pewna, do czego matka zmierza.

- Chcę, żebyście oboje byli szczęśliwi.

- Wiem.

- A Eric tak się dobrze czuje u Lonerganów.

- To prawda.

- Ale czy wiesz, jak ty się tam dobrze czujesz?

- Mamo... - Donna wyprostowała się na krześle.

Catherine szybko podszła i usiadła obok córki. Wzięła jej dłoń w swoją i ciągnęła dalej:

- Ty kochasz Jake'a.

Ona sama zdała sobie sprawę z tego przerażającego faktu poprzedniej nocy. Jakim cudem wie o tym jej matka? Znowu ten przeklęty radar.

- Mamo - powiedziała wymijająco. - Ja nie mogę kochać Jake'a.

- Widzę, że nie zaprzeczasz - zauważyła sprytnie mama. - Na Boga, dlaczego nie możesz?

- To nie ma znaczenia, co ja do niego czuję. Zbyt się różnimy. Pragniemy czego innego. - Taka właśnie była prawda, która dotarła do niej około piątej nad ranem. Chociaż jej ciało wciąż tańczyło radośnie, musiała stawić czoło suchym faktom. Nieważne, jak dobrze układało się między nią a Jakiem, nie potrwa to długo. Nie mogło.

Catherine uderzyła ją w rękę.

- Au! - zawołała Donna zaskoczona.

- Co ty opowiadasz, Donno. Nie ma znaczenia, co czujesz? Przecież to jedyne, co ma znaczenie.

- Jak możesz tak mówić? Przecież muszę myśleć o Ericu. Muszę chronić jego przyszłość!

- A przed czym dokładnie chcesz ją chronić? Przed miłością?

-Mamo...

- Wiem, że się boisz. Nawet nie wiesz, jak bardzo sama się bałam. Byłam tak przerażona, że ze strachu prawie ignorowałam to, co czuję do Mike'a. Ale gdybyś mogła zobaczyć siebie moimi oczami przez ostatnie parę tygodni... od kiedy Jake wrócił do miasta... Widać, że odżyłaś.

Donna zeskoczyła z krzesła i przeszła przez kuchnię. Wyglądało na to, że i tak nie uniknie dyskusji na ten temat.

Zacząła mówić, bardziej do siebie niż do matki:

- Kiedy widzę Jake'a, wszystko wewnątrz mnie się budzi. To brzmi głupio - przyznała - ale tak jest. Nie spodziewałam się tego i nie chciałam, aby tak było. - Rzuciła matce stalowe spojrzenie. - Kochałam Maca. Wiem, że miałam tylko piętnaście lat, ale naprawdę go kochałam. A on zginął.

- To był okropny wypadek. Ale nie możesz patrzeć na całe życie tylko przez pryzmat tej tragedii.

- Jak to nie mogę? Popatrz na Jake'a. Ten facet jeździ na wyścigi motorowe. On przecież aż się prosi o jakiś wypadek! Kocha ryzyko. Niebezpieczeństwo. Jeżeli pozwolę sobie na miłość i stracę go... jak ja to przeżyję?

Catherine wstała, położyła ręce na ramionach Donny i spojrzała jej głęboko w oczy.

- Kochanie, jeśli nie pozwolisz sobie go kochać, to już go straciłaś.

Godzinę później Jake stał na porośniętym drzewami brzegu jeziora i patrzył w dół na niemal nieruchomą powierzchnię wody. Delikatny wiatr wygładzał jej lekkie zmarszczki.

- Porozmawiaj z Makiem. - Jake zaśmiał się krótko, potrząsnął głową i przeniósł wzrok z jeziora ku niebu i z powrotem na wodę. Czy Sam miał rację? Czy duch Maca był uwięziony tutaj, ponieważ jego kuzyni nie pozwalali mu odejść? Czy czekał tu piętnaście lat, aż cała trójka znowu zbierze się razem, aby wreszcie zmierzyć

się z owym fatalnym dniem i zostawić go w przeszłości, gdzie było jego miejsce?

Jake czuł się jak cholerny głupek, myśląc o takich sprawach. Ale jednocześnie mimo poczucia, że Maca już tu nie ma, bo dawno odszedł tam, gdzie pójdzie każdy, Jake uświadomił sobie, że potrzebował przyjść nad to jezioro.

Potrzebował powiedzieć swojemu dawno zmarłemu kuzynowi, co czuje, oraz wreszcie i ostatecznie przyznać się do tego całego ciężaru, jaki nosił w sobie przez te wszystkie lata.

- Sam mówi, że jak z tobą porozmawiam, to się lepiej poczuję. - Jake opadł na wygrzaną słońcem trawę, oparł ramiona na kolanach i westchnął. - To chyba nie ma większego sensu, ale, Mac, jestem już taki zmęczony tym niekończącym się poczuciem winy. Wspomnieniami i bólem. Nawet nie wiem, co, do diabła, mam ci powiedzieć - szepnął. - „Przepraszam” chyba nie wystarczy. Ale co więcej mogę zrobić?

Jake poczuł na sobie powiew chłodnej bryzy. Uśmiechnął się i wyobraził sobie, że Mac naprawdę tu jest. Prawie czuł jego obecność. Wyobraźnia? Prawdopodobnie. Mimo to było to krzepiące. Skan i przerobienie pona.

- Eric jest świetnym dzieciakiem - powiedział miękko. - Byłbyś z niego dumny. Chociaż przecież pewnie cały czas masz na niego oko, nie? - Ta rozmowa z Makiem nie była taka dziwna, jak się spodziewał. Czuł się zupełnie swobodnie i naturalnie. Ale trudna część dopiero się zaczynała. - A jeśli masz oko na Erica, to pewnie wiesz też, co dzieje się między mną a Donną.

Zmarszczył brwi, wyrwał garść suchej trawy i roztarł ją w palcach.

- Kocham ją, Mac. Bardziej niż myślałem, że potrafię kogokolwiek pokochać. - Jake sam jeszcze nie zaakceptował prawdy zawartej w tych słowach. Czuł jednak, że tak właśnie jest. Nagle stało się to takie oczywiste. Kochał Donnę.

Poczuł panikę. Wziął długi, głęboki oddech.

- Nie wiem, co to znaczy dla każdego z nas. Widzisz, do tej chwili nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, że ją kocham. Ale chyba nie powinienem być zaskoczony. Zależało mi na niej, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi. Oczywiście nie chciałem, żebyś o tym wiedział. Ale teraz musisz się dowiedzieć. Pewnej nocy próbowałem *ci* ją odebrać... Uciekła ode mnie. Wróciła do ciebie.

Zmusił się do wyznania najsilniejszych uczuć z przeszłości.

- Nienawidziłem cię wtedy za to. Nienawidziłem cię za to, że ją miałeś. Za to, że miałeś to, czego tak bardzo pragnąłem.

Odrzucił głowę do tyłu, spoglądając na białe chmury żeglujące po powierzchni nieba.

- I kochałem cię jednocześnie - przyznał. - Bez względu na to, jak byłem wściekły czy zawistny, kochałem cię. - Wewnętrzny ból nieco odpuścił i Jake poczuł niewiarygodną ulgę. - Boże, Mac, jak ja za tobą tęsknię. Wszyscy za tobą tęsknimy.

Słońce zaświeciło mu w twarz, oślepiając go. Oczy mi duszy zobaczył chłopaków Lonergana z tamtego lata.

Byli wówczas młodzi i nieustraszeni, cała czwórka miała zawsze trzymać się razem.

- I w pewien sposób - Jake czuł, jak pokój wypełnia mu serce - zawsze będziemy razem. Jesteś częścią nas. Już nigdy żaden z nas nie będzie próbował o tym zapomnieć.

Dwa dni później Eric wpadł do kuchni i krzyknął do matki:

- Jake wyjeżdża.

Donna upuściła garnek, który trzymała w ręku. Nie widziała Jake'a od tamtej nocy w jej sypialni. Już wyjeżdżał? Tak bez słowa?

- Naprawdę?

- Kiedy skończy się lato - powiedział Eric, idąc ciężko w stronę lodówki. Otworzył drzwi, wyciągnął puszkę coli i zatrzaskał je z powrotem. - Dziadek mówi, że wraca do Long Beach.

Donna powoli podniosła garnek, spokojnie skończyła go wycierać i odłożyła do szafki. Będzie tu jeszcze przez tydzień, pomyślała, pamiętając, że każdy z Lonerganów obiecał dziadkowi spędzić w Coleville całe lato.

Tydzień. Tylko siedem krótkich dni i Jake znowu odejdzie. Czy będzie umiała powrócić do życia, które prowadziła wcześniej, zanim on stał się centrum wszystkiego? Jak miała stawić czoło przyszłości, w której nie będzie Jake'a?

Posmutniała, ale zacisnęła pięści i zmusiła się do uśmiechu, żeby jej syn nie wiedział, co jej chodzi po głowie.

- Ericu, wiedziałeś, że Cooper i Jake wyjadą, kiedy skończy się lato.

- Ale on przecież nie musi wyjeżdżać - zaprotestował gorąco chłopiec. Jego policzki były czerwone, a spadające na oczy włosy zakrywały błyszczące łzy, które desperacko starał się powstrzymać. - Możesz sprawić, żeby został.

- Co?

- Wiem, że cię lubi. Powiedział mi. Poproś go, żeby został.

Z bólem serca popatrzyła na ukochanego syna. Szybko dorastał i wkrótce zacznie swoje własne życie. Już odchodził małymi krokami. I jej matka też się od niej odsuwała. Właśnie poprzedniego wieczoru przyjęła oświadczyny Mike'a, wkrótce więc wyjdzie za męża i zamieszka z nowym małżonkiem.

Wszyscy oprócz Donny szli naprzód.

Wkrótce wszyscy oprócz niej będą mieli własne życia. A ona skończy tutaj. W domu, w którym dorastała.

Sama.

Wcale jej się to nie podobało. Żadnego śmiechu w środku nocy. Żadnych kradzionych pocałunków ani jego oddechu na swojej szyi, kiedy śpi. Żadnych kłótni zakończonych cudownymi przeprosinami. Jej przyszłość wydawała się taka pusta.

Och, jakaś jej część pragnęła zrobić to, o co prosił Eric. Chciała w tej chwili pojechać na ranczo Lonerganów i błagać Jake'a, żeby nie odjeżdżał.

Ale jak mogła? Czy mogła ryzykować ponowny ból

straty? Kiedy miała piętnaście lat, kochała tak, jak tylko potrafi nastolatka, a śmierć Maca niemal ją zniszczyła. Teraz to, co czuła do Jake'a, było o tyle większe, bogatsze, głębsze... Gdyby umarł... nie przeżyłaby?

Nie.

Lepiej być bezpieczną niż zranioną.

Samotną niż załamana.

- Nie mogę, Ericu. - Zrobiła krok w jego kierunku. Chłopiec cofnął się gwałtownie, a jego ciemne oczy wypełniły się wściekłością i rozczarowaniem.

- Chyba nie chcesz.

- Nie spodziewam się, że mnie zrozumiesz - powiedziała cicho i spokojnie, chociaż miała ochotę krzyknąć.

- Ale muszę zrobić to, co uważam za najlepsze dla nas obojga.

- Nie masz racji.

- Być może - przyznała z bólem. - Ale muszę podjąć to ryzyko.

Idąc przez pole, Jake odetchnął chłodnym nocnym powietrzem i zdał sobie sprawę, że lato niemal się skończyło. I gdyby nie to, że jego życie w ciągu ostatnich paru tygodni tak drastycznie się zmieniło, planowałyby teraz wyjazd. Na samą myśl o tym robiło mu się słabo.

Skulił się pod powiewem nagłego, zimnego wiatru i wsunął ręce do kieszeni. Odwrócił się, by spojrzeć na światła błyszczące w oddalonym o pół mili domu.

Było późno. W domu, który w ciemności wyglądał jak bezpieczny port na wzburzonym morzu, panowała

cisza. I tym właśnie zawsze był dla Jake'a. Jakże tęsknił za przyjazdami do Coleville. Tak bardzo chciał móc nazywać to miejsce domem.

Uśmiechając się do siebie, ruszył na spacer, nie myśląc o tym, dokąd idzie. Wyszedł z uspiętego domu, bo musiał побыć trochę sam. Potrzebował czasu, żeby pomyśleć. Musiał pożegnać się ze swoim starym światem i przywitać to, co, miał nadzieję, stanie się nowym rozdziałem w jego życiu.

Przez ostatnie dwa dni spędzał godziny przy telefonie, rozmawiając z pośrednikami handlu nieruchomościami i bankierami. Chciał zamknąć swoje interesy w Long Beach i otworzyć firmę tutaj, w Coleville. Powiedział sobie z uśmiechem, że przecież wszędzie może robić motory na zamówienie. Jeżeli chodzi o schronisko i wszystko inne, w czym miał udział, zatrudnił menedżera, który zajmie się codziennymi sprawami. On sam zawsze może przyjechać, jeśli będzie trzeba.

Bo od tej pory Coleville będzie jego domem.

Wreszcie czuł się na swoim miejscu.

Wiedział, że powinien porozmawiać o tym z Donna, ale chciał najpierw wszystko ustalić. Chciał móc jej powiedzieć, że zostawił swoje stare życie za sobą i że jest gotów na budowanie nowego. Z nią. I z Erikiem.

I miał wielką nadzieję, że ona też tego pragnie.

- To wielkie ryzyko, Jake - zamruczał do siebie. - Może przecież powiedzieć, żebyś spadał. I co wtedy? - Zatrzymał się nagle, bo dotarło do niego, że Donna może wcale nie być zainteresowana tym, żeby mieć go na stałe przy

sobie. Letni romans to jedno, ale codzienne życie to co innego. Do diabła, tak bardzo tego pragnął, ale myśl o tym przerażała trochę nawet i jego. A jeżeli wszystko schrzani? Jeżeli zawiedzie Donnę i Erica? Co będzie, jeśli się okaże, że nie jest stworzony do życia w domowym ognisku?

A jeżeli to wszystko nie ma znaczenia i Donna wcale go nie zechce? Przesunął dłonią po twarzy, uśmiechnął się i ruszył dalej. Przez większość życia podejmował ryzyko, nadstawiając kark dla jakiegoś pucharu i czeku.

Tym razem jednak ryzykował więcej niż kark. Teraz chodziło również o serce. Ale możliwy zysk był też o stokroć większy niż wszystko, czego zaznał do tej pory. O swoich planach nie powiedział nawet rodzinie. To było zbyt ważne. Zbyt wielkie. Musiał najpierw porozmawiać z Donną.

Od tamtego poranka nad jeziorem, kiedy wreszcie dogadał się z Makiem, po raz pierwszy od lat patrzył na świat jasnymi oczyma. Każdy oddech był błogosławieństwem, bo nie był splamiony poczuciem winy ani żalem. Każdy pocałunek wiatru niósł ze sobą obietnicę przyszłości, której nigdy by nie dostrzegł, gdyby nie wrócił do domu.

W oddali usłyszał stłumiony ryk silnika. Zatrzymał się i odchylił głowę, nasłuchując, jak ktoś odjeżdża, aż odgłos stopniowo zanikł. Otrząsnął się i szedł dalej. Prędkość i adrenalina już go nie interesowały.

Uśmiechnął się do siebie.

- Jutro poproszę Donnę o rękę. A to wystarczająco ekscytujące dla każdego mężczyzny.

Donna chodziła po kuchni, przyciskając telefon do ucha. Nasłuchując sygnału po drugiej stronie przewodu, odsunęła kuchenne firanki i z rozpaczą wpatrywała się w ciemność.

Gdzie jest Eric?

Nie widziała go od popołudnia, kiedy pokłócili się o Jake'a. Chciała dać mu trochę przestrzeni. Ale teraz, kiedy zegar wskazywał już prawie północ, a chłopca wciąż nie było, jej troska zaczęła się przekształcać w czystą panikę. Modliła się, żeby jej syn był cały i zdrowy u Jasona.

- Halo? - zapytał zaspany głos.

- Vickie? - Donna obróciła się, owijając przewód telefonu wokół palców. - Przepraszam, że cię budzę. Ale czy Eric jest u was z Jasonem?

- Co? Donna? - Kobieta wyraźnie starała się obudzić, ale szło jej to opornie. - Eric? Nie, nie ma go tutaj.

Donna poczuła skurcz w żołądku.

- Jesteś pewna? - wybąkała.

- Jestem pewna. - Przyjaciółka otrzeźwiała nagle, w lot pojmując jej lęk. - Jason śpi dzisiaj u mojej mamy. Jestem tylko z Joem.

- O Boże. - Donna odsunęła włosy z twarzy. Gdzie on może być? Z Jakiem? Czy pojechałby w środku nocy aż na ranczo Lonerganów? Ale gdyby tam był, Jake zadzwoniłby do niej. A jeżeli Erica tam nie było, to gdzie był?

- Donno, nie denerwuj się. - Drzenie głosu Vickie zdradzało, że na miejscu Donny też by się martwiła. - Wiesz, że nic mu nie jest. Co mogłoby mu się stać w Coleville?

- To prawda. Na pewno nic mu nie jest. Po prostu stracił poczucie czasu. Wiadomo, jakie są dzieci. - Eric nigdy nie tracił poczucia czasu. Nigdy się nie spóźniał do domu. Nie sprawił, żeby musiała się martwić i denerwować.

Och, gdzie on jest?

Usłyszała sygnał i szybko się pożegnała.

- Mam drugi telefon. To pewnie on. Cześć, Vickie. -
Nacisnęła przycisk. - Eric?

- Pani Barrett? - odezwał się niski, nieznamomy głos.

- Tak.

- Tu policja drogowa...

Trzymając słuchawkę przy uchu, Donna oparła się o ścianę i osunęła na podłogę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

St. Charles Hospital położony był w połowie drogi pomiędzy Coleville a San Jose. Jake w dziesięć minut przebył trasę, której pokonanie zazwyczaj wymagało kwadransa. Po raz pierwszy w życiu prędkość nie wydawała mu się wystarczająca.

Zaparkował furgonetkę Sama, popędził przez dziedziniec i wpadł na izbę przyjęć. Ściany pomalowane były na blady miętowy kolor, a powietrze przesycone było środkami dezynfekującymi i paniką.

Nienawidził szpitali.

Matka Donny natychmiast zerwała się z krzesła i podeszła ku niemu.

- Jake, tak się cieszę, że przyjechałeś.

- Dziękuję, że pani do mnie zadzwoniła - powiedział, obejmując ją krótko. - Gdzie jest Donna? Jak się ma Eric?

- Wszystko z nim w porządku - powiedziała Catherine, a starszy mężczyzna z siwiejącymi włosami położył dłoń na jej ramieniu. - Będzie dobrze.

- Dzięki Bogu! A Donna?

Catherine zerknęła na podwójne drzwi wiodące do wewnętrznej części szpitala.

- Jest tam razem z nim. Nikogo innego nie wpuszczą.
- Mnie wpuszczą. - Jake skierował się w kierunku drzwi.

- Ona nie wie, że do ciebie zadzwoniłam - powiedziała miękko Catherine.

Zmusił się do uśmiechu. Wolał, żeby to Donna po niego zadzwoniła, żeby chciała, aby tu z nią był. Chciał móc być z nią wcześniej, dzielić jej troskę o Erica. Chciał... wielu rzeczy. Jednak tak naprawdę nic nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że był tu teraz. I nie zamierzał odejść.

Kiwnął głową.

- W porządku. Bardzo dziękuję za telefon.

Catherine uśmiechnęła się i oparła o stojącego za nią mężczyznę, a Jake ruszył ku drzwiom prowadzącym do strefy zabiegowej, ignorując pielęgniarkę, która już biegła, żeby go powstrzymać. Kobieta, widząc jego twarde rysy, machnęła ręką.

I dobrze.

Spojrzenie Jake'a wędrowało z prawa na lewo w poszukiwaniu twarzy, którą musiał zobaczyć. Wreszcie na końcu korytarza dostrzegł Donnę, samą, skuloną na cytrynowozielonym plastikowym krześle.

Na jego widok zerwała się na równe nogi i pobiegła ku niemu. Otworzył ramiona, a ona wtuliła się w niego, obejmując go i kryjąc głowę na jego piersi. Przygarnął ją mocno, czując szalone bicie jej serca.

- Hej, hej - wyszeptał, głaszcząc ją po plecach. - Twoja mama powiedziała mi, że wszystko jest w porządku.

Kiwnęła głową, nie odrywając się od niego. Jake podniósł wzrok na lekarzy i pielęgniarki szybko przemieszczających się od jednego łóżka do drugiego oraz na szumiące i piszczące maszyny, których odgłosy zakłócały były jedynie rzadkimi jękami pacjentów.

Przytulił Donnę mocniej, opierając podbródek na czubku jej głowy.

- Robią mu prześwietlenie - wymamrotała Donna głosem gęstym od łez. - Ale lekarz uważa, że to tylko potłuczone żebra i złamana noga.

- To dobra wiadomość, kotku. Bardzo dobra. - Jake westchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu razem z twoim motorem ukradł też kask.

Poczuł się winny. Co prawda był do tego uczucia przyzwyczajony, ale tym razem było ono o wiele gorsze. Gdyby nie zostawił kluczyków w motorze, Eric nie dałby rady wyprowadzić go ze stodoły. Gdyby nie poszedł na ten długi spacer, byłby tam, kiedy dzieciak się pokazał. Gdyby w ogóle nie wrócił do domu, do Coleville, nic takiego by się nie stało.

- Boże, Jake, tak się bałam.

- Wiem - wyszeptał. - Ja też.

Donna z wdzięcznością wtuliła się ponownie w jego ramiona. Przez ostatnie dwadzieścia minut siedziała w tym okropnym miejscu całkiem sama, zdana na pastwę myśli szalejących jej w głowie.

Przekazana przez policjanta wiadomość, że Eric ukradł motor Jake'a i próbował wyjechać na autostradę, zdruzgotała ją. Nigdy przedtem niczego takiego nie

zrobił. A sama myśl o tym, co mogło się stać... gdyby nie miał kasku Jake'a... gdyby wpadł na kogoś innego... gdyby zginął.

Spojrzała na Jake'a oczami pełnymi łez i powiedziała oskarżycielsko:

- Jechał na twoim motorze.

Jake skrzywił się.

- Twoja mama mi powiedziała. Musiał go wziąć, kiedy wyszedłem z domu.

Donna puściła go, zacisnęła dłoń w pięść i uderzyła go w pierś.

- Gdybyś nie pozwolił mu pracować przy tym głupim motorze... - wydusiła z wściekłością. - Gdybyś nie opowiadał mu o tych twoich przeklętych wyścigach... - Uderzyła go ponownie i zauważyła, że wyraz jego twarzy się nie zmienił. W jego oczach lśniła troska i coś jeszcze głębszego, cieplejszego. Była zbyt zdenerwowana, żeby się nad tym zastanawiać. - Cholera, Jake, przecież to jeszcze dziecko. Nigdy nie powinien był się nawet zbliżyć do tego motoru. Nie powinien próbować na nim jeździć, przecież mógł... - urwała, nie będąc w stanie wypowiedzieć na głos tej strasznej myśli.

- Donno, on ma czternaście lat - szepnął Jake. - To bardzo głupi wiek. Chłopcy robią kretyńskie rzeczy. Ryzykują. To wszystko jest częścią dorastania.

- Kradzieże motorów i uciezki są częścią dorastania?

- Nie mówię, że zrobił dobrze, ale rozumiem to. Najważniejsze, że nic mu nie jest - szepnął Jake, przyciągając ją znów do siebie.

- Nie. Najważniejsze, że mogłam go dziś stracić.
- Ale nie straciłaś - przypomniał jej. - Nie straciliśmy.
- Jake, ja nie mogę. - Głos jej się załamał. - Gdyby coś mu się stało.
- Wszystko jest okej. Eric żyje. Jest bezpieczny. - Ujął jej twarz w dłonie i zmusił, żeby na niego spojrzała. - Jestem tu z tobą. Nie jesteś sama.
- Tak długo byłam sama...
- Wiem, kochanie - szepnął, ocierając kciukiem łzy wzbierające w kąciakach jej oczu. - Świetnie się spisałaś. - Wstrzymał oddech. Po krótkiej chwili dodał: - Przepraszam. Nie powinienem był zostawiać kluczyka w tym cholernym motorze. Gdyby nie to...

Donna zobaczyła ból w jego oczach i wiedziała, po raz pierwszy w życiu, że ktoś czuje dokładnie to, co ona. Czuła siłę Jake'a i czerpała z niej pocieszenie. W jego oczach wyczytała strach, ale była pewna, że ten mężczyzna stawi mu czoło i zrobi wszystko, aby go pokonać. Poczowała jego miłość i zrozumiała, że nie może bez niej żyć.

Donna przez tyle lat była sama. To cudowne, że on tu z nią teraz jest. Jake był z nią, przytulał, pocieszał i wiedziała, że kocha Erica tak samo jak ona. Że dzieli z nią jej strach i ulgę.

I nagle, tak po prostu, jej gniew zniknął.

- Przepraszam, Jake. To nie twoja wina, wiem. Ja po prostu...
- W porządku - szepnął, całując czubek jej głowy. - Ja też to czuję.

- Przytul mnie, dobrze? - wymruczała. - I nie puszczaaj.

- Nie ma mowy.

Minuty wlokły się, a oni stali tak i czekali razem, a kiedy doktor wreszcie podszedł, odwrócili się ku niemu, aby przyjąć to, co miał do powiedzenia.

- Pani Barrett?

- Tak. - Donna chwyciła Jake'a za rękę, czerpiąc siłę z jego mocnego uścisku.

- Eric ma się dobrze. - Zmęczony młody lekarz uśmiechnął się, widząc jej ulgę. - Chcę zatrzymać go na noc na obserwację. Mimo kasku ma lekki wstrząs mózgu.

- Ale wszystko w porządku? - nalegał Jake.

- Jutro będzie można go zabrać do domu.

- Dziękuję - szepnęła Donna i ukryła twarz na piersi Jake'a.

- Możemy go zobaczyć? - zapytał Jake, obejmując ją ramieniem.

- Oczywiście. - Lekarz uśmiechnął się i sprawdził coś w papierach. - Proszę zwrócić się do pielęgniarki przy drzwiach, ona państwa zaprowadzi. Przygotowujemy mu pokój.

Eric w szpitalnym łóżku wyglądał jak dziecko. Jego ciemne włosy były zaczesane na bok, a biały opatrunek zasłaniał mu prawy łuk brwiowy. Lewą nogę aż po udo pokrywał gips. Chłopiec przykryty był bladozielonym kocem termicznym.

Donna oderwała się od Jake'a, pochyliła się nad synem i pocałowała go w czoło.

- Tak się martwiłam.

- Wiem, mamo. Przepraszam. - Oczy błyszczały mu z bólu i wstydu. Przeniósł wzrok na stojącego za Donną Jake'a. - I bardzo mi przykro z powodu twojego motoru.

Jake podszedł do łóżka, pochylił się i wziął Erica za rękę.

- To nie ma znaczenia. Ważne, że jesteś cały i zdrowy. Chociaż utniemy sobie jeszcze dłuższą pogawędkę na temat kradzieży i jeżdżenia bez prawa jazdy.

- Mhm. Przepraszam.

Lekarstwa zaczynały działać. Oczy chłopca zamknęły się, a oddech stał się głęboki i równy. Donna zerknęła na Jake'a i uśmiechnęła się słabo.

- Nie chcę go tu zostawiać.

- Jest pod dobrą opieką.

- Wiem, ale...

- Chodź - powiedział, biorąc ją za rękę. - Myślę, że świeże powietrze dobrze nam zrobi. Przyjdziemy do niego, jak tylko go umieszczą w pokoju.

Kiwnęła głową i jeszcze raz pogłaskała Erica, a potem poszła za Jakiem w kierunku wyjścia, omijając poczekalnię. Powinni podejść do jej matki i powiedzieć jej o stanie chłopca, Jake jednak chciał spędzić z nią kilka chwil sam na sam. Kiedy przeszli przez parking na brzeg dziedzińca, owiało ich chłodne letnie powietrze.

Światło księżyca świeciło przez drzewa na kwadra-

towy trawnik. Jake podprowadził Donnę do kamiennej ławki i posadził. Nie miała kurtki, więc zdjął swoją i otulił jej ramiona.

Patrząc na nią, na kobietę, która zmieniła całe jego życie, poczuł się... niesamowicie szczęśliwy. Dzisiaj był o krok od utraty wszystkiego, co miało dla niego znaczenie. Strach o Erica, troska o Donnę... Gdyby jeszcze nie podjął decyzji o pozostaniu tutaj, z nią, dzisiejsza noc przekonałaby go.

Nigdy nie mógłby opuścić Donny. Nawet gdyby był na końcu świata, zawsze by o niej myślał. O niej i o Ericu. W nocy nie mógłby zasnąć, zastanawiając się, czy są bezpieczni. Czy go potrzebują. Czy tęsknią.

I wiedział, że bez tej dwójki nigdy nie zaznałby w życiu spokoju.

- Jake...

- Donno...

Zaczęli jednocześnie.

- Mów - powiedział Jake.

Skuliła się w jego kurtce i odgarnęła włosy z oczu.

- Chciałam ci tylko podziękować za to, że byłeś ze mną dzisiaj. Naprawdę kogoś potrzebowałam... Nie, to nieprawda. Potrzebowałam ciebie.

- Miło mi to słyszeć. - Jake ukląkł przed nią na jedno kolano, tak aby ich oczy znalazły się na jednym poziomie. - Bo ja tak właśnie czuję się przez cały czas.

- Co masz na myśli? - Jej słowa były ledwo słyszalnym szeptem.

- Mam na myśli to, że cię kocham, Donno - powie-

dział Jake, obejmując spojrzeniem rysy jej twarzy. - Myślę, że zawsze cię kochałem.

Zamruła gwałtownie powiekami.

- Jeżeli to dlatego, że czujesz się winny z powodu motoru, to...

- Nie - powiedział szybko i stanowczo. - Długo żyłem z poczuciem winy, wiem, jak to jest. Ale wreszcie pozostawiłem je za sobą. - Wziął jej dłonie w swoje. - Nie mogę sobie wyobrazić życia bez ciebie i bez Erica.

-Jake...

- Pozwól mi to powiedzieć, dobrze? - poprosił ze słabym uśmiechem. - Potem zdecydujesz.

Kiwnęła głową.

- Chciałbym się z tobą ożenić.

Otworzyła usta.

Ścisnął mocniej jej dłonie.

- Chcę ci pomóc wychować Erica. Chcę mieć z tobą więcej dzieci i patrzeć, jak dorastają. - Jake zdawał sobie sprawę, że nigdy w życiu nie podjął większego ryzyka. Nigdy w życiu niczego tak mocno nie pragnął. Musiał jakoś pokazać jej, jaka jest dla niego ważna. Jak dobrze będzie im razem.

- Chcę tulić cię w nocy. Być przy tobie, kiedy płaczesz. Kiedy się śmiejesz. Chcę, żebyś do mnie dzwoniła, kiedy potrzebujesz pomocy. Chcę być mężczyzną, którego kochasz.

Donna zachwiała się pod siłą jego słów. Ale było coś jeszcze. Nie tylko to, co mówił, ale to, co czuł. Wszystko wyraźnie wypisane w jego oczach. Jego miłość prze-

pełniała ją ciepłem i siłą, i wiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Jaka głupia była, mówiąc matce, że nie może ryzykować straty dla miłości. Dzisiaj nauczyła się tego aż za dobrze.

Miała za sobą czternaście lat wypełnionych miłością do syna i gdyby, nie daj Boże, utraciła go tej nocy, wcale nie straciłaby tych lat. Gdyby nigdy nie miała Erica, nie znałaby tego strachu, który przeżyła dzisiaj, ale nie miałyby też miłości. Bezpieczeństwo nawet w części nie wynagrodziłoby jej samotności.

To prawda, miłość jest ryzykiem. Ale jest to jedyne ryzyko, jakie warto podjąć.

- Donno - ponaglił ją cicho. - Powiedz coś.

Uśmiechnęła się.

- A co z panem Niebezpiecznym? Podróżami po świecie? Wyścigami?

Potrząsnął głową.

- Od tej chwili, kiedy będę podróżował po świecie, chcę, żeby była ze mną moja żona i rodzina. A jeżeli chodzi o pana Niebezpiecznego... Kochanie, żyjąc z tobą, będę miał zapewnioną wystarczającą dawkę adrenaliny.

- A co z twoją firmą? Z życiem w Long Beach?

- Wszystko załatwione. Przenoszę interesy tutaj. Dzisiaj domówiłem ostatnie szczegóły.

Podniosła brwi.

- Byłeś tak pewny siebie?

- Nie - powiedział miękko. - Miałem tylko nadzieję.

- Ja też jestem pełna nadziei. - Spojrzała na ich sple-

cione dłonie, a potem na jego ciepłe, ciemne oczy. - Kocham cię, Jake. Bardzo.

- Czy to znaczy „tak”?

- Och, „tak” - powiedziała, podnosząc się i pociągając go za sobą. - Tak, wyjdę za ciebie. I będę miała z tobą dzieci. I będę cię kochać do końca życia.

Zamknął ją w uścisku, tuląc, jakby była najcenniejszym skarbem na świecie. A kiedy wreszcie odsunął się na tyle, aby spojrzeć jej w oczy, powiedział:

- Kocham cię, Donno Barrett, i przysięgam, że będzie nam razem dobrze.

I pocałował ją, aby od razu rozpocząć ich przyszłość.

EPILOG

W powietrzu unosiły się ostatnie tchnienia lata. Po niebieskim niebie wędrowały puszyste białe chmury, a słońce oświetlało niewielki cmentarzyk, kładąc złote smugi na podniszczonych nagrobkach.

Sam, Cooper i Jake Lonerganowie stali nad grobem, w milczeniu odczytując słowa wyryte głęboko w kamieniu:

„Mac Lonergan
Odszedł zbyt wcześnie”.

Ostry ból przeszył ich serca... i powoli się rozpląnął.

- Nie mogę uwierzyć, że tyle czasu minęło, zanim tu przyszliśmy - powiedział Jake, zerkając na kuzynów.

Cooper przesunął dłonią po potarganych przez wiatr włosach, nie odrywając wzroku od tablicy.

- Może potrzebowaliśmy być razem, żeby stanąć przed nim twarzą w twarz.

Sam pochylił się i strącił z nagrobka opadły liść, zatrzymując na chwilę palce na rozgrzanym od słońca granicie.

- Nie sądzę, żeby Mac zwracał uwagę na to, po ilu latach przychodzimy - powiedział cicho. - Ważne, że tu jesteśmy teraz.

- I razem. - Jake kiwnął głową i podniósł wzrok ku niebu. Po długiej chwili milczenia spojrział ponownie na kuzynów i uśmiechnął się. - Sam ma rację. Dla Maca ma znaczenie, że w końcu się pojawiliśmy. Wreszcie do niego przyszliśmy. Żeby się pożegnać. I - powiedział stanowczo - żeby obiecać, że już nigdy nie opuścimy go na tak długo.

Kiedy powiał chłodny wiatr, trzech mężczyzn stanęło wokół grobu, gdzie ich zmarły kuzyn leżał pod miękkim kocem zielonej trawy. W ciszy, każdy na swój sposób, pozwolił Macowi odejść.